

Wydział Nauk w Przemysłu.

1150

D Lit

10-2-2

11.4

DUSZE ODRODZONE.

Powieść z francuzkiego

P. MÉRY

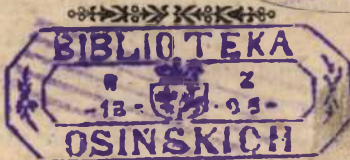
przez W. O.

Lib. 13 d

WYDANIE

KAZIMIERZA JÓZEFA TUROWSKIEGO.

Li. 143.



SANOK.

NAKŁAD I DRUK KAROLA POLLAKA.

1856.

BUSNE ODRONONE

Rowieć x launaw...

P. MERY



1000171918

WIDZIEĆ

BIBLIOTEKA

UMCS ŁÓDŹ

LIBRIN

Handwritten scribbles



SAKON

WYKŁAD I DRUK KRAJÓW POLSKICH

1856

DZIEŃ WESELA.

Niewielu podróżujących zwiedziło dom Solimena.

Zbudowany on był na szczycie małej góry u stóp Wezuwiusza. Obszerny las jodłowy okrążał go dokola, sama tylko wystawa była odkryta. Wspaniałe z niego przedstawiał się widok: naprzeciwko wulkan, poniżej morze, Neapol w głębi zatoki.

Dóm ów, czyli raczej, ów zamek, dziwną odznaczał się powierzchownością; sztuka budownicza była w nim niekształtna, ciężka, bez wdzięku, bez ozdób. Było to raczej naśladownictwo, podobieństwo jednego z owych feudalnych zamków, w które Francya tak była obfitą. Czworogranna nad nim wznosiła się wieża, widzialna z daleka, splełana z zaokrąglonemi wierzchołkami sosen.

Dziś gruzy tylko zalegają szczyt owego wzgórza, pasterz się tylko tam czasem na chwilę zatrzyma lub artysta, podróżnik, co szuka uroczych widoków dla swojego pędzla. Przy końcu siedemnastego stulecia Solimen tam swoje obserwatoryum i pracownię założył. W tej epoce zamek ów całkiem już prawie był niemieszkalny i ostatecznem zagrożony zniszczeniem.

Dziesiątego maja 1646 roku huczne okrzyki uczt obiegały ten zamek dokola, z otwartych rozbrzmiewały podwoi, odbijały się w cieniach pobliskiego lasu, zmieszane z tajemniczą symfonią jodeł, z rozkosznym szmerem fali.

Pomarańczowe i różane krzewy odarto z ich kwiatów, ażeby od podstawy aż do szczytu zamek niemi uwieńczyć. Chorągiew kastylijska nad wielką bramą zatknięta z wiatrem igrała, uciecha krążyła w powietrzu wraz z lśniącym i przejrzystym pyłem południa, wonią

roślin nadbrzeżnych, ożywczym wyziewem morza, z dźwiękiem mandolin, z śpiewem dziewic neapolitańskich, które tańczyły tarantelę na uschłych i śliskich liściach jodłowych. Szał uciechy wstrząsał tem uroczem wzgórzem, złoceniem przez słońce, pieszczonem przez fale.

Powód uroczystości zachętą był dla młodych mężczyzn i kobiet; był to obchód zaślubin Steliny, piętnastoletniej dziewczycy, córki hiszpańskiego hrabi Los Vegas, panna zamku, z ciotecznym jej bratem Odoardem, synem księcia Otayano, młodzieńcem ośmnastoletnim, rozkochanym jak student, smaglawym i silnym jak marynarz Ischii, jak artysta namiętym.

Damy i młodzi panowie hiszpańscy i neapolitańscy z upodobaniem poglądali na te dwoje dzieci-małżonków, przechadzających się po odosobnionej ulicy, nie zważając na zabawy wspaniałej uczty, której byli bohaterami. Odoardo nie widział jak tylko swoją młodą żonę, tę, którą tak kochał, tak pragnął od dnia, w którym mu się już nieprzedstawiała jak siostra, w którym mu się objawiła w całym uroku młodej dziewczycy, w którym zapelniała zamek, wzgórze, las swoim wdziękiem dziewiczym, swem tchnieniem miłości i anielskiego uroku. Odoardo zlekka trzymał jej rękę, potem pozwolił jej iść naprzód, a usta jego drżały, ogień płonął po licu, krew do serca mu biła, gdy tak pieścił się spoglądaniem na ten utwor uroczy, tę postać tak anielską, tak wonną, tak kobiecą, przezwaną jasnowłosą dziewczicą o czarnych oczach. Czasami, widząc ją milczącą, nieruchomą, zadumaną, drżał jakby z przestachu, gdyż zdawało mu się, że Stelina nie jest rzeczywistością kobiety, że wymknąć się mu może, jak zjawisko lasów, lub myśl artysty, ucieleśnione na chwilę. Co go przejmowało tą szaloną obawą, był to strój, który młoda oblubienica na zaślubiny swoje przybrała. Nową po-

stać, nowe ciało strój ów w dniu tym jej nadawał. Rozkosznym urojeniem połączyła ona godowe ozdoby Neapolu i Sewili; biała jej szata, z aksamitem czarnym, była wiernym tłumaczem najwdzięczniejszych kształtów, jakie bóg utworzył, ażeby z nich złożyć kobietę. Kwiecie pomarańczy rozsiewało swoje białe gwiazdy po zwojach pięknych jej włosów, szyja obnażona, bieli pełnej świeżości i życia, pozwalała odgadywać rozkochanemu młodzieńcowi cały skarb uciechy, jaki przyrodzenie złożyło w tem ciele dziewicy dziecinnej. W tej właśnie chwili, gdy ta kobieta należała już nakoniec do niego, gdy z rozkoszą, upajając się niemi, zwolna wymawiał te dwa słowa: „moja żono!“ tak był bojaźliwy i nieśmiały, jak kochanek w dniu wyznania swojej miłości; zastraszała go jego nowa władza nad nią, i gdy pomyślał, że wkrótce znane mu będą wszystkie tajemnice małżeństwa, krew się w nim ścinała, wzdymało się serce. Tak młody, tak silny upadał pod ciężarem szczęścia. Stelina patrzyła na swego małżonka z wyrazem słodkiego poddania, lecz Odoardo jej nie rozumiał, on żył w świecie nowym, miał lzy w oczach, dreszcz w ciele. Rozpoczął słowa, których dokończenie przemieniało się w jego ustach w dźwięk niezrozumiały. Postępując coraz dalej przybyli do szczytu skał, gdzie był zbudowany rozkoszny pawilon spoczynku, panujący nad morzem. Była to rotunda z kolumnami, okryta cieniem dębów i mirtów; z cichym szmerem spadała tam woda z marmurowej urny na szerokie liście nenufaru. Jedyne to był odgłos, co się w tem ustroniu słyszeć dawał, a i ten do dumania nakłaniał. W sali pawilonu wielki malarz Espagnolet dziwnem urojeniem pomalował arabeski obrazające skromność, jak to się czasem artyście zdarza widzieć we śnie, gdy usnął z nieuiszczonem życzeniem.

Wtedy głos się dał słyszeć harmonijny i dźwięczny, na który zadrżał Odoardo, jak gdyby nigdy go przedtem nie słyszał.

—Ach, mój przyjacielu! nie wchodźmy, jest to pawilon zabroniony damom.

—O, moja żono! dziś wszystko wolno jest tobie. Chodź, spocznijmy; zamek daleko, słuchaj, jak głosy naszych przyjaciół dochodzą nas zaledwie. Szanowano tajemnicę naszej przechadzki. Choć Stelino! chodź moja żono, jesteśmy sami...

Na to ostatnie słowo zbladła młoda małżonka. Odoardo powtórzył je z cicha.

Usiadł, przyciągając z lekka swą żonę na swoje kolana.

—Pozwól, niech cię uściskam, rzekł jej głosem stłumionym; po raz pierwszy dotknę się ust twoich, o jakże pragnę tego!

Stelina wydała okrzyk przestrawu i skryła się za kolumnę. Odoardo powstał, porwał za szpadę i głosem grzmiącym zawołał:

—Po co tu przychodzisz?

Te tak nagle wyrzeczone słowa zwracały się do mnicha, który łukiem zieloności okryty stał u wnijscia, patrząc zimno na dwoje małżonków.

—Wybacz mi łracie! rzekł mnich, chciałem się oddalić, gdym ujrzał, że niedyskretnieby było zostawać tu dłużej; lecz pani zaraz mię spostrzegła. Zbieram kwestę po wsi i zawsze się tu zatrzymuję na chwilę, ażeby się ochłodzić u źródła. Mój klasztor jest w Annunciada, ztąd widać jego dzwonnice. Młodzieńcze, skory jesteś do gniewu, niech bóg chroni cię od nieszczęścia w dniu twoich zaślubin!

Odoardo rzekł z wypogodzoną twarzą: Jakże wiesz mój ojczy, że dziś jest ślub mój, ty, co nienależysz do świata?

— Nienależę do świata, ewangelicznie mówiąc, lecz jestem z okolic Neapolu, a twoje zaślubiny z panią zanadto są głośno, ażeby z nich co nie zaleciało aż do ogródka naszego klasztoru.

— Módl się więc do boga i świętego Franciszka za nami! rzekła Stelina. Odoardo, daj kilka dukatów bratu kwestarzowi.

— Nie przyjmujemy nigdy pieniędzy w naszych kwestach, moja młoda pani! Torba moja próżna jest dzisiaj, jak widzisz, lecz rachowałem na to, że ją napelnę okruszynami z waszej uczy weselnej, z tym zamiarem szedłem do zamku; stół gościnnego bogacza nie jest zamknięty przed biednym łazarzem.

— Będziemy ci towarzyszyć, rzekła żywo Stelina; już jest późno, może niespokojni są w zamku.

— Moje towarzystwo zapewne wam natrętne, rzekł mnich spuszczać oczy.

— Przyniesie ono nam szczęście, mój ojczy!

I wszyscy troje opuścili pawilon. Odoardo smutny i milczący, Stelina wesola i lekka, mnich z postawą obojętną na wszystko, jak stoik, co niedbanie o nic przybrał za zasadę i cel życia.

Był to człowiek mający lat około czterdziestu, postaci świeżej i pogodnej; trudnoby było w zmarszczku jego lica, w jego spojrzeniu najmniejszy ślad namiętności dostrzedz; była to błogość uczyniona człowiekiem. Głos miał słodki i cienki jak głos kobiety, którego dźwięk dziwny uderzył Odoarda i Stelinę — Stelinę najbardziej, gdyż Odoardo słyszał kobiece chóry mężczyzn w kaplicy sykstuskiej, i mógł sobie wytłumaczyć dziwny głos tego zakonnika.

Wychodząc z pawilonu mnich podniósł szpilkę złotą, wypadłą z włosów Steliny, i oddał ją jej z wdziękiem, młoda małżonka okryła się rumieńcem.

Przybyli do zamku już prawie nocą. Książę Otayano wyszedł naprzeciw syna i synowej, ażeby im oznajmić, że Salwator Rosa ukończył ich portrety, które zawieszono w ich sypialni.

— O! pobiegnę zobaczyć portret mojej żony, zawołał Odoardo, mój ojciec, zostań przy Stelinie!

Mnich głęboko pokłonił się księciu.

— Towarzyszył nam aż... ztamtąd ten dobry zakonnik, rzekła Stellina.

Otayano pilnie wpatrzył się w mnicha, ten z swoją zwykłą dobroduszością przyjął ów przegląd.

— Po co tu przychodzisz, mój ojciec? zapytał go książę.

Mnich uczynił znak kwestarza, wskazując na swoją torbę.

— Czy niemy jesteś, mój ojciec?

— Nie, nie, odpowiedział zakonnik przyciszonym głosem z miłym uśmiechem.

— Jakież jest imię twoje między świętymi?

— Spirydyon.

— A między ludźmi?

— Bóg wie o niem.

— Jakto! nieznasz twego imienia?

— Zapomniałem je.

Wszystkie te odpowiedzi mnicha wyrzeczone były półgłosem, skromnie, wzrokiem raz wzniesionym ku niebu, to znów spuszczone ku ziemi. Otayano nieustawał w swych śledczych badaniach.

— Czy się nie mylę mój ojciec, zdaje mi się jednak, że około trzech godzin temu widziałem cię przechodzącego w pobliżu zamku ulicą wiodącą do Torre di Greco.

— Tak, to ja byłem, wracałem z Saint Martin, i jako mniej długą tę wybrałem drogę.

— Postać twoja nie jest mi nieznana, mój ojcze, czy żyłeś w świecie?

— Nigdy.

— Masz krewnych?

— Żadnego.

— Byłżebyś więc...?

— Tak panie.

— To nie jest zbrodnią.

— To jest szczęściem. Cały należę do boga!

Otayano się wstrzymał, jakby owładniony myślą smutnego wspomnienia, wzrok spuścił ku ziemi, nogą trącił liść opadły i roztargnioną ręką odzierał chropawą korę jodły.

— Jeżeli pozwolisz panie, rzekł Spiridyon, pójde odpocząć w twych stajniach; już jest zbyt późno, jutro dopiero w dalszą puszcę się drogę. Pobożnemu uczuciu sług twoich zostawiam wypełnienie mej torby.

— Dobrze, dobrze, rzekł roztargniony książę, dam im moje rozkazy, zalecę bydź uczynnymi... Lecz czyż za murami klasztoru wolno ci przepędzać noc mój ojcze?

— Mam na to pozwolenie moich przełożonych. Gdy chodzę po kweście, często noc przepędzam za murami klasztoru, w lecie zwłaszcza.

— Nie boisz się zbójców?

Spiridyon uśmiechnął się z lekka.

— Zbójców? o! nie napastują oni żyjących z jałmużny, moja torba smutną by dla nich była zdobyczą; przepaści tylko się lękam, gdyż mam wzrok zbyt słaby, w nocy nie widzę nic prawie, a droga zanadto jest zła do wsi Annuciada, gorsza zaś jeszcze we wsi do klasztoru, zwłaszcza od czasu ostatniego wybuchu. Jednak jeżeli

moja obecność jest natrętną, pójdę szukać przytulku w klasztorze kamedulów

O! mój ojciec, rzekła żywo Stelina, jak możesz myśleć o tem? W dniu moich zaślubin odmówilibyśmy gościnności zakonnikowi? Byłoby to występkiem w oczach boga i ludzi! Jest miejsce w zamku dla wszystkich synów świętego Franciszka, zawsze będą mile widziani tak w dzień jak w nocy. Chodź, chodź z nami mój ojciec Spirydynie, chodź, chcesz przyjąć moją rękę?

Spirydyon uczynił wstydlivy znak odmowy, jak gdyby go zastraszyła sama myśl dotknięcia się ręki kobiety.

— Pani, rzekł, będę miał zaszczyt isć za nią jak niegodny sługa.

Otayano, Stelina i mnich wyszli z jodłowego lasku, i przeszli dziedziniec zamkowy cały zalany tłumem radośnym, przeciągłym szmerem uwielbienia pozdrawiającym młodą małżonkę, którą zafrasowany ojciec za rękę prowadził.

Ognisty Odoardo nie opuścił jeszcze małżeńskiej komnaty, sam był w niej tylko; najlepszemu z swoich przyjaciół nie pozwolił towarzyszyć sobie z obawy, ażeby tchnienie świata nie wcisnęło się w tę dziewiczą atmosferę, w ten święty przybytek, gdzie jaśniało łoże Steliny. Ile razy rozkochany młodzieniec pobożnie złożył dłonie, jakby do modlitwy, przed tym wspaniałym obrazem swej żony, przed tem arcydziełem neapolitańskiego malarza! Jakże on dobrze pojął tę dziewicę szczególną, mistrz wielki! Nie była to ani piękna kobieta, ani ładna kobieta, którą odwzorował swym pędzlem, było to urzeczywistnienie anioła, ujęte w kształty dziewicze, jedna z tych postaci, co o żadnej potrzebie, żadnej ułomności, żadnej nędzy naszej smutnej natury nie nasuwają wspomnienia. Rysy tej młodej kobiety rzucone na płótno

wprawiły w mniemanie, że nie jest zrodzona z kobiety, że się zjawiała światu w jednej z nocy wiosnianych, jako wyziew woni, że żyła życiem aniołów i kwiatów. Pod tą powłoką jasną, złoconą, przejrzystą, kościotrup ludzki czuć się nie dawał; upojenie niewysłowionej rozkoszy owładnęło cię w obliczu tego płótna, i gdy ją ujrano odbitą w wielkiem zwierciadle sypialni, wtedy dziwną grą złudzenia ta rozkoszna postać zdawała się ożywiać w mglistej oddali, te wielkie oczy czarne błyszczały pod przejrzystym czołem, pod złotym włosów potokiem; wtedy ożywcza siła tego obrazu tak była potężna, iż zdolną była natchnąć prawdziwą dla siebie miłością, namiętnością szaloną, którejby żadna żyjąca kobieta nie potrafiła zaspokoić. Noc przed tym obrazem spędzona wydałaby się najwyższem szczęściem dla niejednego z tych młodych i namiętnych Włochów, co dla sztuki i kobiet żyli tylko jedyne. Trzeba było ginąć z miłości, zabić się zbytkiem uludy; można było rzucić się na to boskie płótno, aż pokądby jego barwa nie spłowieła pod płomiennym uściskiem, w szalonym zachwycie. O! jakżem ja szczęśliwy, zawołał uniesiony Odoardo, moja żona jest jeszcze piękniejsza! a to jest wezglowie, gdzie przebudzi się jutro!

Wyszedł z licem płonącym, ażeby ujrzeć Stelinę. W swoim uniesieniu nie raczył rzucić nawet okiem na obraz zawieszony naprzeciw obrazu swej żony, na swój obraz; było to jednak także uwielbienia godne dzieło. Bądź przez skromność, bądź przez zapomnienie, oba te obrazy nie były podpisane przez mistrza. W jednym tylko rogu na dole nakreślone były słowa: Stelina i Odoardo, 10. maja 1646.

Tłum był na terasie zamkowym, gdy Odoardo tam zeszedł; niebawem odkrył on Stelinę, gdyż ta zdawała się świecić promiennieścią swego ciała i włosów wśród

tej konstelacyi najpiękniejszych niewiast neapolitańskich, wyborczego grona owego rozkosznego dworu Hiszpanów, co przeniósł z sobą do Villa Real miłośne podania Valladolidu, Grenady, Sewili. Noc była, lecz z stu otwartych okien zamku wytryskały strumienie światła na teras, a ta jasność, lepiej od jasności dnia, podobała się niewiastom; z wdzięcznem zaniedbaniem przechodziły one po przed grona młodych panów, poddając się ich uwielbieniu, przesuwaly się jak fantastyczne kręgi, swemi dziecięcemi stopy dotykając zaledwie marmurowych bruków, z głową przechyloną na ramie, z giętkością ciała, pełną powabu dla oka. Harmonijny szmer głosów włoskich wzlatywał z tego tłumu, który o miłości tylko rozmawiał, marzył o samych uciechach, uludą oddychał. Wielkie jodły zamek wieńczące, otwierając powiewowi zatoki swoje liście iglic zielonych, tworzyły jakby nadpowietrzną orkiestrę czystej i tajemniczej harmonii, pieśni miłośne wznosiły się z wszystkich ulic, gdzie noc i drzewa pokrywały swym cieniem tyle tajemniczych zachwyków, tyle gron zblakanych. U stóp wzgórza morze zdawało się toczyć migające gwiazdy; miasto i port przesyłały sobie nawzajem swoje błędne światła. Wiatr usypiał nad Pauzylipem, tą niezgłębioną urną wonności, a za ocknieniem się swoim potraçał wszędzie swoje balsamiczne skarby, jak okręt przybyły z Manili albo Cejlonu. Wezuwiusz przybrał sobie za powinność, przez ognie stuczne uczcić tę uroczystość neapolitańską; wulkan, jak sąsiad hojny, wzmagął swój głos straszliwy, pozdrawiał wybuchem przejrzystego dymu, gradem lawiny, i szczerze rozsiewał niewinne ognie bengalskie, które nagłą jasnością zdradzały wszystkie tajemnice, powierzone na wiarę ciemności; gdyż w owych dniach zepsucia, w owym klimacie miłośnej gorączki, na tej ziemi starożytnych bachanaliów, działo się

jeszcze jak za czasu świąt Wenery; nieskończony rozgłos miłości przebiegał tłumy wielbicieli dokoła przybytku bogini, a Hymen przepaską zasłaniał swe oczy, ażeby nie widzieć niewiernych, co się zrzekali jego opieki.

Osobliwsze zdarzenie roztrągnęło na chwilę umysł tego tłumu, który dzień godów uciechami przesycił: pomiędzy sługami roznoszącymi chłodniki zauważano mnicha Spirydyona, który w postawie umartwienia poddał się kornym zatrudnieniom usługi domowej. Przeszedł z roztrągnięciem obok Odoarda i Steliny. Młody małżonek przemówił do niego, wesóło: Przebacz mój ojczy, ale jakimże to rzemiosłem trudzisz się tej nocy? Będę zmuszony pisać do ojca świętego, ażeby uwolnił cię od pokuty, jaką twój przełożony zadać ci nie omieszka. Spirydyon pokłonił się, jak gdyby niespostrzegł Odoarda i jego żony.

—Mój synu, odpowiedział tonem szczeroci i słodkiej melancholii, mój synu! nigdy nie byłem wystawiony na pokusę w mem życiu; jakąż mogę mieć zasługę przed bogiem, żem go nie obraził dotąd? Palma zwycięstwa dana jest tylko temu, kto walczył, nie mogłem więc wybrać lepszej zręczności; wszystkie zasadzki piekła są tutaj, chcę poznać, czy jestem dość silny, ażeby usnąć snem mocnego, czy potrafię za pomocą łaski zwalczyć nieczyste widziadła nocy, *noctium phantasmata*?

Kończąc swój mistyczny okres podał na srebrnym półmisku chłodzący napój Stelinie i jej małżonkowi.

Oblubieńce zaspokoili pałacę pragnienie i wdzięcznie podziękowali swemu ewangelicznemu podczaszemu. Spiridyon nie ustawał w swojej dobrowolnej usłudze aż do chwili, gdy dzwon wybił godzinę udania się małżonków na spoczynek.

Słysząc było, jak w wieży oddalonego klasztoru zegar północ wybił, światła w oknach zamku po kolei gasły, młode dziewice wiejskie schodziły ze wzgórza rozmawiając o strojach dam, damy i młodzi panowie wracali do Neapolu całą szybkością swych koni. Krewni i popufali sami tylko zatrzymani byli w zamku, z porannemi godzinami zstępowała spokojność; cisza moralna oczyszczała las jodłowy, po śmiechach, radości, pieśniach, następowała głucha smętność nocy, ta smętność nadziemska tem tkliwsza w miejscach, gdzie marmur zdaje się drgać jeszcze pod stopami tancerzy, gdzie kwiaty pozostałe jeszcze ciepłe od łona kobiet, które je ogrzewało.

Odoardo klęczał u nóg swojej małżonki.

Stelina siedziała w krześle w swoim pokoju.

Dwie lampy starożytnego kształtu oświecały małżonków. Stelina była piękną, aż umrzeć z zawiści, Odoardo drżał ze szczęścia. Obrazy zdawały się miłośnie na swoje pierwotwory spoglądać.

— Malarz wiele mi pochlebił, rzekła Stelina, ażeby coś powiedzieć obcego położeniu swemu.

— Pochlebił ci? zawołał Odoardo. O, bóg sam nawet niemógłby nic piękniejszego od ciebie utworzyć. Aniołowie raju zazdroszczą ci i szemrzą przeciwko bogu; gdybyś przechodziła przez cmentarz Chiaja, umarli zadrdzeliby w grobach swoich; pochlebił ci, on, ten malarz nieudolny? nie mogąc cię odwzorować przestał na zrobieniu arcydzieła! a potem ta szata, te koronki, ten aksamit, wszystko to nie jest tobą; pomalował osłony, ponieważ mu nie wolno było widzieć i malować to, co tylko moje oczy jedynie widzieć mogą... Czy słyszysz Stelino?

— Słyszę mój przyjacielu.

— Daj mi ucałować twe nogi, chcę je widzieć odkryte; daj mi twoje piękne włosy...

— Mój przyjacielu, mój przyjacielu! ty mnie zastraszasz... Czekaj.... dreszcz mię przejmuję, muszę być blada...

— Tak... to jest bladość, to jest drżenie młodej małżonki; o, jak ci pięknie z tą bladością! o, jak ja cię żałuję, ty siebie kochać nie możesz! Chodź, chodź, niech cię wezmę w moje ramiona; czuje, że pierś moja pęka; patrz, patrz, ja płacę z radości. O, jakżeś ty piękna! o boże! dziękuję ci, jestem wybranym twego wyboru; szczęście moje mię zastrasza! cóżem ja uczynił, ażebym był tak szczęśliwy!.... Stelino, Stelino! zdajesz się być cierpiąca....

— Mówiłam ci mój przyjacielu! mam dreszcz.... zimno mi, pozwól niech wdzieję moją suknię.

— I mnie także i zimno i gorąco, mam pragnienie, mam wszystko. Czyż ja wiem, co mi jest? mózg mój żarem płonie, wzrok mgłą się powleka, zęby się ścinają; jedno tylko lekarstwo jest na to... będziemy szczęśliwi i spokojni jutro! o chodź...

— Ale jakże ty jesteś blady także! ty, Odoardo! bardzo blady, ty, taki rumiany zazwyczaj! popatrz się w zwierciadło mój przyjacielu!

— Występek byłoby to, utracić całą chwilę, patrząc na inną postać niżeli na twoją. O, chodź, chodź!

— Ręce twoje jak lód zimne, Odoardo! Mój boże! straszno mi! ach, zdaje mi się, że słyszała jakieś słowa w tej alkowie.... Odoardo, mój małżonku, lica twoje zapadły, ty cierpisz.

— Tak, tak, trochę. To nic. Ach! to dla tego, że cię tak pragnę, Stelino! O! jakżeś ty piękna teraz! rozwiąż twoje włosy.... tak dobrze, rozpuść je na ramiona. Ach, cierpię bardzo, Stelino! nie mam już siły unieść cię

w mem ręku. Nogi me ciężęją, głos się osłabia, i ty także moja żono?

— Umierająca, umierająca, mój przyjacielu, mój mężu!

— Wielki boże! zawołał Odoardo płacząc, cóż nam takiego się stało?

I smutnie wzrok ku łożu zwrócił, wtem mu się zdało, że jakaś ręka odchyła zasłony alkowy i że skrzypnęły ich żelazne pierścienie.

Odoardo w ostatniem wysileniu uchwycił swą szpadę, lecz znowu kolanami uderzył o posadzkę.

— Odpowiedz mi, rzekł gasnącym głosem do swojej żony, odpowiedz mi, mów do mnie Stelino, choć tak, jak ja mówię do ciebie!

Stelina z trudnością wyciągnęła rękę i schwyciła włosy młodzieńca; usta jej się poruszały, jak gdyby usiłowała przemówić, jak gdyby odmawiała ostatnią modlitwę skonu; śmierć zarzuciła już swój całun nad tem ciałem młodej niewiasty, tak pięknem w swojej nagości.

W tej chwili harmonijne głosy zanuciły serenadę weselną.

— Tak, tak, śpiewajcie, śpiewajcie! wyrzekł głucho Odoardo.

I łzy spływały po jego woskowem licu.

Głosy śpiewały mistyczną aryę Palestriny temi pogańskimi słowy:

Od Sorentu mknie się fala,

Woń w zefiru płynie łodzi,

Z purpurowej toni — z dala —

Na mgle srebrnej Wenus wschodzi;

Jasną gwiazdą złotolica

Serc bogini ci przyświéca.

Roztwórz okno! — tam obłoki
 I doliny, góry, drzewa,
 W puchach piany pierś zatoki
 Wenus tchnieniem swem owiewa, —
 Jej rozkoszne tchnienie boże
 Niechaj spłynie na two łożę!

Słyszysz senny szmer wietrzyka?
 Po nad wyspy i jaszmy
 Dzwoni tęskna pieśń słowika,
 Dźwięczą tkliwie mandoliny, —
 Smutny śpiew z samotnej łodzi —
 Wszystko dziwny urok rodzi.

Woń i dźwięki, kształty, cienie
 Darmo nęcąc serce, oczy!
 Jedno jego uściśnienie
 Życiem, rajem się otoczy, —
 Lecz noc wionie, dziś dziewica —
 Jutro w dłonie skryjesz lica.

Przyszłość nie jest w naszej mocy, —
 Na kochanka czułem łonie
 Od dzisiejszej rajskiej nocy
 Wieczną gwiazdą niech ci płonie, —
 Ogniem bożym złotolica
 Serc bogini niech przyświeca.

Odoardo z smutnym uśmiechem wyciągnął rękę ku oknu. Stelina w żywym przystępie boleści odzyskała zmysły.

— Mój przyjacielu, wyjąkała słabym głosem, jesteście my otruci!

— To być nie może, wykrzyknął młodzieniec w ostatnim wysileniu konwulsyjnego wstrząśnienia, bóg by nie pozwolił na to. Ja umierać, przed tobą umarła! dzisiaj?..

Nie, nie, śmierć nie dla nas stworzona, nie dla ciebie wszechwładnej i pięknej jak życie!... Ach czuję, że ogień pali moje wnętrzości!

Stelina dotknęła ręki Odoarda i przemówiła głosem gasnącym:

— Mój przyjacielu, uściskaj mię raz jeszcze!

Te słowa galwaniczną iskrą razily Odoarda, zerwał się i upadł tej samej chwili na ciało swej żony, ściskając je konwulsyjnymi rękami.

— Nie, rzekł nieszczęśliwy młodzieniec, nie, my nie umrzemy, to tylko próba; gdybyśmy umarli dzisiaj, bóg jest sprawiedliwy, wskrzesiłby nas jutro!

Usta na ustach wyjąkały grobowe pożegnania. Oblubieńcy potoczyli się po marmurowej posadzce. Były to dwa obnażone trupy, najpiękniejsze, jakie kiedykolwiek dotknęła nieczysta ręka grobarza.

Wtedy człowiek jakiś wysunął się spiesźnie z alkowy—był to mnich Spirydyon. Spojrzał na trupy z wyrazem zadowolonej radości. Złotą szpilkę wziął z włosów Steliny i wrył nią jakieś słowo na piersiach młodej dziewczyny, krew zsiadła zastąpiła atrament, szpilka pozostała w ciele, potem sznurową drabinę uwiązał u balkonu pokoju, zsunął się na teras i zniknął w labiryncie jodeł.

II.

ODRODZENIE.

O dziesiątej godzinie zrana oprócz kilku sług i wieśniaków nikt jeszcze z zamku niewychodził. Wszystkie okna były zamknięte, upał ciężył już na trawnikach, lekki wietrzyk szemrał po lesie.

Hrabia Los Vegas i jego żona ukazali się pierwsi w ubiorze porannym, damy nadeszły później wraz z młodymi panami. Całe to towarzystwo próżnujące i szczęśliwe sunęło niedbale po wielkiej ulicy jodlowej, na twarzach niewywcześnie i znużenia dawały się spostrzeżać znamiona.

Głośny wybuch śmiechu wstrzymał przechadzających się.

Był to książę Matalone przybywający z zamku, którego huczną wesolą brzmiała echa lasu.

—Panie! rzekł, przechodziłem dopiero po pod okna małżonków, zgadnijcie, com tam obaczył!

Wyraz niemej ciekawości wybadywał go swoim milczeniem.

—Ujrzałem sznurową drabinę u balkonu zawieszoną, nasze kochane dzieci wykradły się.

—Wykradły się? zawołano jednogłośnie.

—Tak, wykradły się! mówił dalej książę. Na cóż służą drabiny ze sznurów? Chodźcie panie popatrzeć, to coś oryginalnego, pierwszej nocy ślubu! jest to coś zupełnie nowego w dziejach miłości.

Towarzystwo, z księciem na czele, pobiegło jak szalone pod balkon sypialni nowożeńców. Okno szeroko było otwarte, drabina wisiała; wszystkie głosy zawołały razem: Odoardo! Odoardo! Hrabina Los Vegas wołała na córkę z niespokojnością. Żaden głos nieodpowiedział.

—Trzeba wejść na górę, rzekł hrabia, i pukać do drzwi. Wbieżono na wschody, zrazu zlekka stukano do drzwi sypialni, potem wstrząsniono niemi z wściekłością, wysadzono je nakoniec. Towarzystwo wpadło do pokoju, nie opowiem sceny przestachu, jaka nastąpiła potem. Dwa trupy leżały rozciągnięte na posadzce. Promienie słońca igrały z obnażoną szyją Steliny, siność okryła już biedną dziewczynę.

Obie matki umierające wyniesiono z pokoju, wszystkie damy opuściły sypialnię, wydając długi okrzyk przestrochu, Los Vegas i Otayano w hartownej mocy mężczyzny znaleźli dosyć odwagi, ażeby patrzeć na swoje dzieci nieżywe. Stali przy nich z rękami złożonemi na krzyż, ze łzami w oczach, milczący, badając się niekiedy nawzajem rzutem oka pełnym wyrazu.

Znagła księżę Otayano żywo się pochylił do jednego z trupów, mówiąc stłumionym głosem:

— Coś tu napisano końcem szpilki, nie mogę wy-
czytać!... Los Vegas, ty nie płaczesz, czytaj...

Otayano przeczytał to słowo: Pomszczony!

Rozumię! rzekł zimno Los Vegas.

Otayano głową i głosem prawie niezrozumiałym wyrzekł dwa słowa: To on!

Piana okryła usta hrabi Los Vegas, krew wzdęła żyły na skroniach jego, mocno o posadzkę oparł swe nogi i głosem stłumionym zawołał:

— Nędznik! oszukał mię wczoraj, przez chwilę zdawałem się go poznawać, przez jedną tylko chwilę! zamieszanie dnia tego odjęło mi bacność!... Dwadzieścia lat, jakem go nie widział!

— Tak, dwadzieścia lat, rzekł Otayano... myślałem, że umarł...

— Lecz trzeba się nam zemścić Otayano! potrzeba... poszlemy naszych walecznych do klasztoru Torre di Greco... prawda Otayano?

— Na nic, na nic to się nie przyda. Mordercy pewno już teraz nie ma w klasztorze.

— Przekleństwo! wymknie się nam!... Trzeba wyruszyć natychmiast, Otayano... natychmiast!.. Trzeba jechać do Neapolu, pospieszyć opowiedzieć zbrodnię księ-

ciu d' Arcos... Inkwizytorom wicekróla trzeba powierzyć wyszukanie zbrojcy, zbiry go wynajdą; już zapewne zrzucił suknię mnicha... wmieszał się pomiędzy lazarónów, a może ucieka drogą do Salerno lub Rzymu, trzeba koniecznie, żeby wicekról nam pomógł... Spieszmy do Neapolu Otayano!

— Do Neapolu! Tak, jutro udamy się do Neapolu, ale nie możemy opuścić żony nasze dzisiaj!...

— Ach, tak, tak! biedne matki!

— Księżę Matalone przemówi za nami do wicekróla, zbierał się wyjeżdżać przed chwilą. Matalone nam pomoże, jutro złączymy się z nim w Vila Real.

— Tak, tak, tak lepiej. Idźmy do Matalona. Te biedne dzieci!

Nieszczęśliwi ojcowie opuszczali pokój żałobny zwolna, jak gdyby z przymusem. Wychodząc Los Vegas wskazał przyjacielowi swemu na łożo ślubne, uśmiech gorczy przebląkał się po ich bladych i drżących ustach. Łoże pokryte jeszcze było wspaniałą osłoną z frędzlami powiewającemi jedwabiem i złotem. Woń trupia rozchodziła się już po pokoju.

— Zginęli bez powrotu! rzekł Otayano i drzwi zamknął, potem przywołał jednego z służących i na straży przy drzwiach zostawił.

Nie zwlekając dłużej oba udali się do żon swoich; każdą z nich paląca gorączka łożo powaliła, zdawały się być głuche i nieczule na wszystkie poświęcenia, na jakie się silono, gdyż cios straszliwy zanadto był jeszcze świeży.

Obchód żałobny odbył się w południe. Obydwa trupy przeniesiono do małej kapliczki wśród lasu, i tam je złożono, a w miesiąc później Los Vegas kazał w Neapolu wykuć piękny grobowiec z białego marmuru, który

oparto o zewnętrzny mur kaplicy, kapłan go pobłogosławił, wydobyto ciała i tam je złożono. Bronzowe wieko grobu zostało opieczętowane, i wyryto na niem ten napis:

Odoardo i Stelina

zeszli z tego świata 11. maja 1646. r. w dzień swego ślubu.

Wielkie okno i drzwi sypialni zostały zamurowane, dwie czarne zasłony zarzucono na obrazy młodych małżonków. Sprzęty wszystkie pozostały jak przedtem. Nie zmyto nawet miejsca, gdzie trupy znaleziono leżące, pot zjadliwy, pot trucizny i śmierci odcieniował, że tak rzekę, postać dwóch ciał na marmurze. Z rozkazu księcia d' Arcos surowe czyniono poszukiwania po wsiach i mieście dla wynalezienia mnicha posądzonego o zabójstwo, lecz wszystko było napróżno, nie wrócił on już do swego klasztoru, a miejsce, które sobie obrał na schronienie, pozostało tajemnicą dla wysłańców wicekróla.

Wspomnienie owej straszliwej nocy owionęło ten zamek mgłą żałoby, której czas nawet rozpedzić nie zdołał. Tylko dwie matki zrazu nie pocieszone niczem, zdecydowane zabić się rozpaczą, teraz żyć postanowiły; powinność swego macierzyństwa wkładała na nie powinność uzbrojenia się przeciw wspomnieniom już spełnionego wielkiego nieszczęścia. W dziesięć miesięcy później hrabina Los Vegas wydała na świat córkę, którą nazwała Steliną, a po piętnastu dniach przerwy jej przyjaciółka powiła nowego Odoarda. Radość, że tak rzekę, smutna i mało ufna w przyszłość otoczyła kolebkę nowonarodzonych. Otayano i Los Vegas przed wszystkimi, nawet przed najbliższymi krewnymi i przyjaciółmi, zataili ciężarność żon swoich. Narodziny dwojga dzieci takąż samą tajemnicą były okryte. Los Vegas skrycie i w nocy przyprowadził

do kolebki kapłana, a ten im chrztu udzielił nie wiedząc, z jakich rodziców są zrodzone. Obie rodziny przezorność posunęły aż do zbytku, ażeby ten rodzaj zmartwychwstania ukryć przed okiem niewidzialnego wroga, co tak dobrze uniał wyrachować swą zemstę i czekać długie lata, ażeby tem boleśniej uderzyć. Los Vegas i Otayano, których stasza katastrofa i ważne obawy o przyszłość zniechęciły od Neapolu, układali zamiar przeniesienia się do Hiszpanii, jak tylko dwoje dzieci będą dość mocne do wytrzymania podróży; obie matki mocno popierały ten zamysł, obrzydziły sobie już zamek.

Fatalizm zlekka dopiero zaszpicował swe dzieło przeciw tym dwóm rodzinom; gdy swoje żelazne szpony utkwiał w jaką ofiarę, męczy ją długo, nakoniec puszcza, lecz zboląłą do żywego potem ocuca znowu, ażeby się paściwić nad szkieletem.

Otóż co się zdarzyło:

Dziesiątego lipca 1647. roku, czwartego dnia panowania Mazaniela, panowania jednotygodniowego, lud rzucił się na pałac księcia Matalone, ażeby go zamordować; księżę potrafił się wymknąć. Brat jego Józef padł ofiarą na jego miejscu, gdyż potrzeba było jednego z członków tej rodziny zemścić ludu poświęcić. Dowiedziano się, jakoby księżę miał nasłać ludzi najemnych dla zamordowania Mazaniela, i ta była przyczyna wzburzenia. Przyjaciele księcia Matalone, jako współnicy, na ten sam los byli wskazani, hrabiowie Los Vegas i Otayano napadnięci zostali w Largo di Castelo, zamordowani i wrzuceni w morze. Jeden z lazaronów, który za sobą liczną i posłuszną bandę prowadził, wydał taki rozkaz; ów człowiek nieznamy, lecz tak wiernie słuchany jak każdy, kto w buntach wyższe zdolności okaże, obrócił się do lazaronów, swoich towarzyszy, i przemówił do nich głosem spo-

kojnym i słodkim, który dziwną tworzył sprzeczność z sceną mordów, jaką wywołał: Moi przyjaciele! śmierć tych dwóch zdrajców nie wystarczy nam, trzeba iść do ich zamku i nie ustawać w zemście, księżę Matalone znalazł tam schronienie, trzeba nam krwi Matalona! Idźmy!

Nieznajomy lazaron te tłuszcze, krwią opila, powiódł za sobą do zamku hrabi Los Vegas. Znaleźli tam tylko odźwiernego Stefana. Służący ten spokojnie przypatrywał się niszczeniu pięknego zamku. Smutne wypadki, których był świadkiem, tak mocne na nim uczyniły wrażenie, iż odtąd zostawał w stanie ciągłego osłupienia. Gdy się drudzy zajmowali rabunkiem, tymczasem nieznajomy lazaron poszedł wprost do grobu kaplicy, otworzył brązowe wieko, uniosł trupy Odoarda i Steliny i ze szczytu wzgórza rzucił je drapieżnym ptakom, krążącym ponad głęboką doliną Otayano. Ten nadmiar zemsty przyjemność zdawał mu się sprawiać, gdyż cała postać jego radością jaśniała.

Dwie damy i ich młode dzieci zapewneby padły ofiarą tej krwiożerczej tłuszczy i jej tajemniczego przywódcy, lecz los inne im przeznaczał koleje.

Po zamordowaniu hrabi Los Vegas i Otayano służący, który był z nimi (zwał się Limerio), pobiegł spiesźnie do zamku uwiadomić dwie wdowy o losie, jaki spotkał ich nieszczęśliwych mężów i wyrwać je z mieszkania, do którego, jak wnosił, mordercy zwrócą się niechybnie.

Limerio rzucił się do nóg hrabiny Los Vegas: Uciekaj, uciekaj pani! rzekł, nie masz chwili do stracenia, za godzinę śmierć będzie w tym zamku.

Inni słudzy, przybyli z Neapolu, rozszerzyli trwogę, potwierdzili podwójny mord hrabiego i jego przyjaciela.

Dwie nieszczęśliwe wdowy drżały o swoje dzieci. Postanowiono, iż opuszczą niezwłocznie zamek i w jakimś mieście włoskiego wybrzeża szukać będą schronienia.

Limerio był marynarzem z Procidy, umiał kierować łodzią żaglową, duszą i ciałem oddany był obydwom rodzinom. Jemu więc nieszczęśliwe wdowy powierzyły się w tej godzinie rozpacz. Zebrały naprędce klejnoty, brylanty, wszystkie swoje skarby przenośne. Limerio złożył dwoje dzieci w wspólnej kolebce i ta tułactwu oddająca się rodzina, z pięciu osób złożona licząc w to i służącego, uboczną ścieżką przez las zstępowała ze wzgórza aż do ustronia, gdzie przytwierdzona była łódź stara, należąca do zamku.

Rozwinięto żagiel, wiatr wiał przyjaźny i świeży, oddano się na wolę wiatru, za nadejściem nocy zaczęło się zanosić na burzę, morze mocno poruszane dokuczało dwom damom, dzieci były uśpione. Limerio pozbawiony kompasu, nie znając brzegów, ku którym siła wiatru ich goniła, kierował łodzią, ażeby uniknąć rozbicia i oddalić się od ziemi. O północy burza tak się wzmogła, iż zdawało się niepodobieństwem, ażeby Limerio mógł ujść cało z swoim nędznym statkiem. Na domiar nieszczęścia otwór zrobił się w łodzi, jak gdyby deskę przebiło ostrze skały wystającej z wody, na którą łódź się wśliznęła. Dwie biedne kobiety wydały okrzyk przestachu i porwały na kolana kolebkę swych dzieci, gdy tymczasem niespracowany Limerio wyrzucał wodę z barki, która w nią wpływała obficie. Sam zanadto był słaby, ażeby tak długo walczył przeciw burzy i wodzie. Promyk nadziei zablasytał mu jednak; wiatr zmniejszył się znacznie, morze do uspokojenia zdawało się przysposabiać, jak przez mgłę spostrzegano na horyzoncie ponure zarysy brzegu, lecz barka, która od wczoraj unoszona była od wiatru z okropną szybkością, teraz sunęła się tylko leniwo, gdyż ilość wody, która ją zalewała, była za nadto wielkim cięż-

żarem, którego wszystkie usiłowania Limeria nie zdołały ulżyć.

—Zgubieni jesteście! zawołała hrabina Los Vegas, rzucając okiem przestרחu na kolebkę swych dzieci. Limerio milczał.

Woda ciągle przybywała przez otwór, dosięgła już prawie równi dwóch ławek. Brzeg cieniował się tylko zlekka i w dali.

—Kogoż mam ratować? zawołał Limerio.

—Ratuj nasze dzieci! odpowiedziały matki.

—Módlcie się za nami do najświętszej panny, rzekł Limerio.

I wziął kolebkę, którą woda już dosięgała, złożył na morzu uciszonem zupełnie, kierując ją jedną ręką i pływając drugą.

Łódka została zalana. Limerio zwrócił głowę na chwilę i ujrzał tylko zielonawy połysk otchłani.

Limerio trzy godziny płynął, zanim dostał się do brzegu, w doskonałej równowadze kolebkę utrzymać potrafił.

Dzieci, które ich matki karmiły na łodzi poraz ostatni, uśpiły się znowu w swoim pływającym łożu. Limerio wysiłony utrudzeniem, dreszczem przejęty, złożył je nakoniec na brzegu Ostyi u bram prawie klasztoru zakonnicy Klary.

Dwóch braci kwestarzy wzięli kolebkę i zajęli się ratunkiem umierającego Limeria. W małym domku wiejskim, należącym do klasztoru, wspaniała gościnność udzielona mu była.

Z obowiązku, czy ciekawości, w kilka godzin nadszedł podestat, by wybadać rozbitka. Limerio był w łóżku. Prawnik zarzucił go pytaniami. Poczciwy sługa odpowiadał zrazu prawdą na zapytania, które za nic nie

znaczące uważał. Wymówił więc swoje imię, Steliny i Odoarda. Potem, obawiając się narazić przyszłość tych dwojga dzieci, którą zniszczyć straszni nieprzyjaciele zapewne mieli interes, zmyślił na prędce bajkę: powiedział, że jest rybakiem z Civita Vecchia, że nocy ostatniej z rozbitego okrętu uratował w swojej barce te dwoje dzieci z ich matkami. Szczegóły, które opowiadał dalej, były prawdziwe, te same, jakieśmy wyżej opisali.

Podestac obiecał napisać natychmiast do kardynała Albrucci w celu uwiadomienia go o ewangelicznem poświęceniu się Limeria i upominania o nagrodę, lecz biedny sługa mocował się już z pierwszemi napadami pleury, która go miała wpędzić do grobu. Trzy dni wzruszeń i nad siły trudów zadały mu cios śmiertelny. Nie powstał już z gościnnego łoża, gdzie kwestarz ś. Klary złożył go drżącego, zmoczonego falami. Limerio umarł w przystępie maligny, w którym wymawiał dziwne słowa, nie zrozumiałe dla tych, co je słyszeli. Przez nieład majaczeń, wychodzących z ust Limeria konającego, przebijał się często niejeden prawdziwy wypadek z tragicznych dziejów zamku Los Vegas.

Dwoje dzieci, mała Stelina i mały Odoardo, umieszczono zostały przez braci kwestarzy pod opieką klasztoru.

III.

W RZYMIE.

Drugiego listopada 1666 roku młody artysta zdejmował malowniczy widok ruin łaźni Antonina; przy boku jego młoda jasnowłosa dziewczyna, o jeden z gzymsów oparta, pracowała nad ściegami haftu. Oboje jednego zdawali się być wieku, lat ośnaście zaledwie. Ubiór ich

niezwiastował zamożności, cali pracom swoim byli oddani, jak gdyby chleb ich codzienny jedynie od tego zależał.

Z kościoła śś. Nereusza i Achileusza dał się słyszeć powolny jęk dzwonu.

Młody człowiek zadrżał i wypuścił ołówek.

—Ten dzwon mię nastraszył, rzekł głosem stłumionym. Stelino, czy to już na anioł pański wieczorny?

—Nie, mój bracie, jest to ostatnie podzwonne za umarłych, nie odmówiliśmy ani jednego *miserere*.

—Na czyjaż intencję mielibyśmy je odmawiać moja siostró? rzekł młodzieniec z smutnym uśmiechem.

—Za biedne dusze czyścicowe.

—Dobrze mówisz, Stelino! Jeżeli dusze naszego ojca i naszej matki są w mękach cierpienia, tybyś im może ulżyła twojemi modłami, ty Stelino! tak czysta, tak anielska! Słuchaj moja siostró! zdaje mi się, że tracimy nasze nawyknięcia pobożności wmiarę, jak postępujemy w wieku. Trzy lata już, jakeśmy opuścili ów gościnny dom ś. Klary, gdzie tak chrześcijańsko byliśmy wychowani, zastrasza mię ta myśl, że od tego czasu nabraliśmy upodobania światowych, ja nadewszysko moja siostró! ja, gdyż ty tylko zawsze moją wolę wypełniasz. Twoje cnoty do ciebie samej należą, twoje wady są mojem dziełem. Dziś naprzykład, nie jestże to występkiem w oczach boga i ludzi, żeśmy nie zważali na święto i nie odmówili siedmiu psalmów w jakim zakątku kościoła? Zdawałoby się, że jakiś zły duch nami kieruje.

Młoda dziewczyna przysunęła się żywo do swego brata z konwulsyjnym wstrząśnieniem, a jej wielkie czarne oczy straszliwym sposobem odbijały od bladości lica.

—Chodźmy do kościoła, rzekła, czuję potrzebę modlitwy. Chodź mój bracie! opuśćmy te zwaliska, one są zanadto smutne dla nas.

Odoardo z wzrokiem w nią wlepionym słuchał swą siostrę; zdawało się, że ten głos pelen czystej melodii odrywał go chwilowo od zwykłej posępnej zadumy. Stelina mówić już przestała, a Odoardo patrzył jeszcze na nią z wyrazem człowieka, co słucha. Po słowach Steliny dziwne nastąpiło milczenie, wiatr jesienny szamotał lasem ziela i bluszczu, wyrastającym z olbrzymich sklepień łaźni, a na każdy podinuch wiatru rośliny pasożytne odpowiadały szelestem niesamowitym. W małych przerwach powracał spokój odludzia, po nad całą drogą Apia niebo zasępiało się chmurami, od stóp Palatynu aż do grobowca córki Krasusa żadnej żyjącej istoty nie było widać. Ta niezmierną pustynia podobną była do cmentarza zburzonego świata, gdzie powywracano cyprysy i groby.

Ona żałoba z niczem nie dająca się porównać, co osmuca tę część pól rzymskich, działała zapewne na ognistą wyobraźnię Odoarda, z jakimś rodzajem radości poddawał się on posępnym wrażeniom krajobrazu; nagle zbrzydził sobie rysunek, który rozpoczął, i po równinie nowego dla siebie upatrywał widoku: raz był to tryumfalny i powywracany rząd wodociągów, to znowu mury poszczerbione i zczerniałe starej budowli Aureliusza, lub odłom granitowej kolumny, ozdoby przedsionku łaźni, dziś powalonej na łożę fijołków, pierwiosnków białych i trawnika. Stelina nie haftowała już więcej; była ona nieruchoma, z oczami w jedno miejsce wpojonemi bez wyrazu. Można ją wziąć było za posąg Wstydlivości, wydobyty z zwalisk. Dzwon pobliskiego kościoła odezwał się raz jeszcze, a młoda dziewczyna zerwała się śpiesznie, jak gdyby z przykrego marzenia ockniona.

—Chodź mój bracie! chodź, wyrzekła zcicha, chodźmy modlić się.

Odoardo wdział swój płaszcz ciemny i zużyty, na ramiona Steliny zarzucił czerwoną mantylę, i z wolna zwrócił się ku drzwiom łaźni. Stara kobieta, która im te drzwi otwarła, widząc ich przechodzących jak śnierc bladych, smutnie poruszyła głową i krótką modlitwą poleciała opiece najświętszej panny.

Drzwi kościoła zamykały się już, gdy przyszli. Mógł jednak dostrzedz trzynaście świec z żółtego wosku palących się dokoła czarnego katafalku, zasianego białymi łzami.

—Zapóźno przychodzicie, rzekł zakrystyan, już po wszystkim.

Odoardo wsunął w rękę zakrystyana mały pieniądz srebrny.

—To na mszę za umarłych, rzekł.

Zakrystyan otworzył regiestr, złożony na małym stole przy wchodzie do kościoła.

—Na jaką intencję ma się odprawić ta msza? zapytał Odoarda.

—Za duszę naszego ojca i naszej matki.

—Jakie imiona potrzeba napisać?

Odoardo nie odpowiedział.

—Imiona waszej matki i waszego ojca? mówił dalej zakrystyan, imiona chrzestne tylko. Kapłan wymawia je przy *memento*..... Zapomniałeś je?

—Tak, odpowiedział Odoardo z stłumionem westchnieniem. Stelina oparła się o kolumnę wystawy i płakała.

—Biedne dzieci! rzekł zakrystyan, niech patronowie naszego kościoła przyczynią się za wami. Odprawimy wam mszę za dusze zmarłych.

I podał święconą wodę Odoardowi i zamknął drzwi kościoła.

Odoardo obwinał się swoim płaszczem, dał znak Stelinie, ażeby szła za nim, i szybkim krokiem zwrócił się na drogę apijską.

Zostawili na lewo groby Scypionów, poniżej te dzikie pola, które zawalają niezmierzone kupy gruzów, będących niegdyś cyrkiem Karakali, i przybyli do granic Aureliuszowego Rzymu, do stóp tej pogrobowej wieży, co uwieczniła największą żalobę ojcowską, jakiej kiedy Rzym był świadkiem.

Dzień ku schyłkowi się nakłaniał, zwiastując burzę, wiatr zachodni wciskał się w wieżę Cecylii Meteli i napełnił ją harmonią żalobną, jak płaczki starożytnych pogrzebów, gęste i szerokie zwoje wiecznego bluszczu, które naksztalt korony żalobnej powicwiają nad grobem, na każde wstrząśnienie odpowiadały jękiem. Czasami zdawało się, że wszystkie głowy byków wydłutowane po gzymsach odzywały się rykiem, jak wielkie ofiary Klitumna pod nożem ofiarnika. Wiatr, który grzmiał po tej płaszczyźnie, zawadzając o zwaliska, miał wszystkie słowa, wszystkie głosy, wszystkie krzyki spustoszenia, każdy gruz myśl swoją w niego przełamał. Wiatr ten w tysięcznych poświęstach gromem wzlatywał z wodociągów, ze wszystkich portyków cyrku Antonina, wirował po drodze apijskiej, z hukiem wozów wrywał kamienie, rozbijał się o szczyby murów Aureliusza, naśladując dzikie wycia barbarzyńców Teodoryka; każdy poświęst tego uroczystego wichru przypominał jakąś wielką rzecz zgasłą, upadek kolosu, jęk świata.

Odoardo poddawał się z rozkoszą wpływowi tej niewidzialnej potęgi nadziemskiej, która przemawiała do niego językiem tak zrozumiałym dla jego serca.

— Ach! tu się przecie odдыcha, nieprawdaż moja siostrze? tu się nie cierpi samemu; tu się cierpi ze wszystkim, co cierpiało, płacze się ze wszystkim, co płakało. O! jakże ta żaloba ciągnie się szeroko! Wszystkie lzy, co w tych miejscach płynęły, zachowane przez

boga w potokby zmieniły drogę apijską. Mogę się uśmiechnąć przecie, to mi daje trochę radości.

I z uwagą zaczął się przypatrywać pośmiertnej więzy Cecylii Meteli. W tej chwili liście bluszczu wichrem oberwane lunęły potokiem, jak lzy nad tklwym napisem grobowcu.

— Biedna córka! a nadewszystko biedny ojciec! rzekł Odoardo; jakże musiała być wielka boleść, co się z taką prostotą wyraża: *Caeciliae Q. C. F. Metellae Crassi*.

— Nic więcej! a ileż to pokoleń rozczulało się nad tem!... Słuchaj Stelino! tutaj jest dobrze, nie prawdaż? Ten grobowiec jest próżny, wybierzmy go na mieszkanie.

— Z tobą mój bracie! grób jest pałacem.

— Dobra siostrzo! Zbrzydziłem sobie Rzym, nikt do mnie niepodobny w tem mieście, ja tam na ulicy ś. Teodora jestem jak człowiek przybyły z innego świata, małe dzieci boją się mnie, gdy na nich patrzę. Nasze sąsiedztwo nie jest miłe, to prawda, lecz i gdzie indziej nie więcej byłoby warte. Wszystkie ulice Rzymu podobne są sobie, nie widać tam, jak tylko kobiety szalejące za swoim ciałem, a moja siostra powinna tylko żyć w atmosferze aniołów albo daleko od ludzi.

— O, mój bracie! rzekła Stelina głosem tak tklwym i tak mało podobnym do głosu innych ludzi, iż mogło się zdawać, że to z pod grobowego wieka wydobywa się żalonna skarga cienia Cecylii. O, mój bracie! tobą tylko żyję, ciebie tylko samego widzę na świecie, nie słyszę nic tego, co się mówi koło nas, twoje słowa jedynie do ucha mego dochodzą, moim światem jest brzeg twego płaszczu; jeżeli się modłę do boga, to dla tego, że ty się modlisz; jeżeli pracuję, to dla tego, żeby cię naśladować; jeżeli chodzę, to dla tego, ażeby iść za twoim krokiem. Jestem smutna Odoardo! jednak, gdybym cię ujrzała śmie-

jącego się, śmiałybym się także. Moje ciało jest tylko cieniem twego, moje życie odbiciem twego życia. Kiedy wymawiam twoje imię, chciałabym, żeby głoski tego imienia były wieczne, tak je wymawiam z rozkoszą; nazywam cię moim bratem, gdyż mi się zdaje, że nie ma imienia słodsze, jeżeli znasz jakie miłsze, naucz mię go. Nigdy nie patrzyłam oko w oko na inną twarz, jak twoją, nie domyślałam się istnienia innych stworzeń ludzkich, jak tylko przez odgłos ich kroków, gdy przechodzą koło nas. O mój bracie, po co mię pytasz o radę! Chcesz ty żyć, ja żyć będę; chcesz ty umrzeć, ja umrę; dóm lub grób, wszystko mi będzie niebem na ziemi, bylebym tylko głos twój słyszała tuż przy moim głosie.

— Aniele boga! niebiańskie dziecię! rzekł Odoardo uniesiony, o! uściskałbym cię z rozkoszą, gdyby pieszczoty, nawet braterskie, pozwolone były w obliczu grobu! Nie, nie, ty nie wiesz, jaką czuję potrzebę balsamu twego słowa, gdyż mam zmartwienia, mam bóleści, jakich nikt z ludzi nie zna, które bladeścią powlekają moje lice, otępiają język, wypalają korzenie mych włosów; bóleści tak niezrozumiałe, że czasami wstrząsam sobą gwałtownie, jak gdybym się chciał ocknąć z snu dławiącego; gdyż tylko na złych snów marzenia podobny żar mózgu zwykł spadać. Jednego dnia zabrałem przyjaźń; ty nie wiesz, co to jest przyjaciel... jest to człowiek, który nas zwodzi trochę grzeczniej jak inni ludzie; przechadzałem się z nim po placu łuku złotników tuż koło naszego domu, o! jakże byłem cierpiący tego wieczora! Chciałem ulżyć sobie, opowiedziałem mu moje cierpienia, on mię niezrozumiał; usiłowałem wytłumaczyć mu dziwną naturę tych myśli, co mną wstrząsały, wieszże, co uczynił ten przyjaciel? parsknął głośnym śmiechem i szaleńcem mię nazwał. O! nie zabiję nigdy nikogo, gdyż ten przyjaciel żywy wyszedł

z rąk moich! Żyje on, ten wielki mędrzec! żyje, jest szczęśliwy lub udaje, że nim jest; przechadza się przed ś. Teodorem każdej niedzieli po nieszporach, ubrany w aksamit, z ręką na rękoności szpady, układa sonety o pięknych oczach dam, codzień je obiad u jakiego kardynała, złą porę przepędza w Villa Pamphili... Niech mu bóg da szczęśliwy koniec! Umrze on, nie domyślając się, że żył kiedy. Ja cieszę się, że mu narzucił życie, zabijając go zawielebym mu zrobił dobrze. Odtąd jak święty skarb zamknąłem w sobie moje tajemnice; sądziszże, że powinienem powierzyć je mej siostrze?

Stelina ścisnęła ręce swego brata i przygotowała się do słuchania.

Odoardo wtłoczył palce w zwoje czarnych i kręcących się włosów swoich i szeroką smagłą ręką mocno przycisnął swe czoło, czarne jego oczy lżą się zwilżyły. Po poruszeniu obnażonej jego piersi łatwo było spostrzedz, że wielkie wysilenie w nim się odbywało i że doświadczał nieprzełomnej trudności w przelaniu na słowa tego, co tyle razy myślał. Nakoniec przemówił:

—Nie są to cierpienia pospolite, które mam opowiadać moja siostrze! Najwyszukańsze tylko są naszym udziałem, nie jesteśmyż ulubieńcy nieszczęścia? Nasze życie czyż podobne do drugich życia? Nie wiemy, ani czemeśmy byli, ani czem jesteśmy. Na niskim szczyblu postawieni w społeczeństwie, znajduje się przecież w głębi nas wrodzona duma, zadająca fałsz upośledzeniu naszego stanu, jesteśmy ubodzy—lecz nie tak, jak ci nieszczęśliwi, co się popisują swojemi łachmanami na placu Montanara, ich rodzaj nędzy odmienny jest od naszego; nasze ręce nie wyciągały się nigdy pod oknami kardynała, nasze usta niewyszemrały nigdy tego natrętnego jęku, który gwałtem wydziera jałmużnę, lub

wywołuje odmowę. Żyjemy z pracy rąk naszych, lecz praca nasza jest źle nagrodzona. Długo szukałem po Rzymie żyjącej istoty, coby spojrzeniem i powierchnością zdradziła podobieństwo swego położenia z mojem, widziałem wielu nędzarzy, lecz wszyscy zdali się być w zgodzie z swoim losem, wszyscy spoglądali na swoją nędzę, jak na rzecz im należną; czego nigdy nie spostrzegłem na twarzach cierpiących—to jednego z tych szybkich wstrząśnień, rzutów oka ku niebu, co wystrzelają z serca, jak skarga przeciw bogu. Gdybym był schwytał choć raz jeden człowieka na wrzącem cierpieniu, na przekonaniu o nieszczęściu, wyciągnął bym rękę ku niemu, on by mnie zrozumiał, zespolilibyśmy nasze życie, by ulżyć ciężarowi serc naszych. Jednego dnia, przy kracie kościoła ś. Jerzego, ujrzałem siedzącego człowieka, który płakał; nie potrzeba łzom ufać, czysta to uluda częstokroć; z interesownością zapytałem tego człowieka o przyczynę jego rozpacz, utracił on dziecię. Utracić dziecię, jest to boleść życia, boleść przyjęta w języku ludzkim, boleść z porządku boleści i która ma swą nazwę, także też wytknięta jest droga do pozbycia się tych boleści; mają one swój początek, postęp, przesilenie. Nazajutrz przed ś. Pawłem spotkałem tego stroskanego ojca, nie płakał on już; w karnawał ujrzałem go znowu, biegł z maskami w sukni arlekina. Poznałem więc, że moja istota odosobniona była zupełnie od innych istot, że moje troski nie miały słowa, coby je wytłumaczyło ludziom, że w tem wielkiem mieście, które tyle jęków wydało, w tem mieście stoczonym aż do szkieletu przez wszystkie plagi świata, w tym Rzymie pokalczonym nadmiarem wstrząśnień wszelkiego rodzaju—żaden jego mieszkaniiec nigdy mię niezrozumie i że naniec by mi się nie przydało, zmieszać się z tłumem jedynie dla zamiany słów i dźwięków, coby nigdy nie wydały myśli,

która mnie całego zajmuje. Schroniłem się więc w odludzie; czasami ogarniało mię uczucie dumy na wspomnienie, że wymyśliłem cierpienie, że stworzyłem nieszczęście. Któż więc jestem? czem ja jestem? o! usiądź Stelino tam, na tej płaskorzeźbie, ruiny są naszymi krzesłami...

— Czem jestem? o! gdybyś ty mógł przemówić w tej chwili cieniu młodej dziewicy, co ulatujesz nad nami! — Czem jestem Stelino! Człowiek, jak inni ludzie? niepodobna! Nigdy nie zasiadałem przy ich stołach ucztowych, nie wychylałem z nimi puharów; nie znam ani ich teatrów, ani ich zabaw, ani ich wiedz, ani ich boleści, ani ich szalonej ufności, ani ich rozpaczy. Miasto, w którym mieszkają, dusi mię jak więzienie. Uchyliłem się na osobność tam, gdzie się zaczyna wielki szlak grobowców. Tam czuję się w mojem państwie; lubię groby — nie te, w których robak ma jeszcze do czynienia, ale groby, które same szkieletami się stały, i chwała niech będzie Rzymowi, tego zbytku pośmiertnego nie braknie mu! Miasto smutku, co wszędzie z sobą ślady nicestwa unosi, które z jednej strony opiera się o grobowiec Adryana, z drugiej o tę wieżę Cecylii, jak stara nierządna królowa o dwóch ulubieńców swoich! Tak lubię groby, jak się lubi swój dom rodzinny; lubię je nie dla tego, że kiedyś wrócić mam do nich, lecz.....

— Mój bracie! zawołała Stelina.

— Ponieważ zdaje mi się, że z nich wyszedłem!

Stelina rzuciła się w ramiona Odoarda, mówiąc głosem stłumionym: Ja zgadłam! Młody człowiek przyciskał ją do swoich piersi, całował jej usta, jej oczy, jej włosy, z szalem, który nic braterskiego nie miał. Słowa zamieniały się pomiędzy nimi, ale burza głużyła je swoim głosem. Noc straszliwa już zapadła. Rzadkie błyskawice oświecały w przerwach wieżę Cecylii i linię wałów,

resztą płaszczyzny posępna pokrywała barwa. Dzwon ś. Pawła zwoływał na obchód wieczorny, a dźwięki zanoszone wiatrem zdawały się wirować po głębi pustej wieży, jak gdyby była ze spiży. Młodzi ludzie trzymali się w czułym objęciu, wzdrygnęli się na rażący połysk błyskawic, Odoardo żywo się zerwał, gdyż zdało mu się, że świętość ich rozmowy była zgwałconą; błyskawica żywa i szeroka oświeciła marmurowe rzeźby, postacie kobiet w rozpacz, błagających, ofiarników, ożywiły się z połyskiem meteoru, i rzekłbyś, że orszak pogrzebny sunie się ku grobowi.

—Widzisz, zawołał Odoardo z rękami wzniesionymi do nieba, widzisz Stelino! piekło oburzone jest na mnie, zdradziłem moją tajemnicę, zdradziłem zaufanie grobu i ... więcej jeszcze uczyniłem! Miałem jedną myśl ... myśl okropna! O, nadmiar nieszczęścia pociechą zbrodni czasem nas darzy! Stelino, o małym nie zapomniał, że ty byłaś ... Chodź, chodź moja siostró, moja siostró, moja dobra siostró! Chodź, przybliżmy się do mieszkań człowieka, chodź, to miejsce jest przekłete!

Przeszli mały obwód trawnika, na którym zbudowana jest wieża; Odoardo trzymał młodą dziewczynę za rękę i mówił jej wstępując na drogę apijską:

—Ta myśl straszliwa, że nie jestem urodzony jak inni ludzie, że życie moje dane mi jest z grobu, że należę do rodzaju istot pośrednich pomiędzy człowiekiem a czartem, ta myśl rozpaczki pozostaje mi tam, wbita w mózg mój, i przeważa wszystkie inne myśli. W nocy miewam sny okropne, sny, które kłócą często spoczynek twój moja biedna siostró! gdyż nieraz ujrzałem cię u głów mego łóżka, z zaświeconą lampą i piękną twoją twarzą kropkami potu okrytą, musiałaś słyszeć nieraz te straszliwe jęki, które przebudzają mnie samego, gdy czuję się byź

przytłoczony mojami zwykłymi snami. Zdaje mi się wtedy, że jestem zakopany głęboko, przybity w trunnie, ciasno owinięty całunem jak mumia, oddycham wyziewem nieczystych roślin, trupa, świec gaszonych, czuję wślizgujące się na moją pierś przez całun coś pelzającego i zimnego, co mnie świdruje jak ostrze szpady; słyszę nad sobą, jak w wysokich roślinach wiatr płacze zmieszany z śpiewem kościelnym i razami motyki nad dołem. O! co widzę wtedy, jest tak okropne, że żaden język niema słów do wymówienia, żadne ucho dość mocy do słuchania tego. Wyteżam ręce, żeby przedrzeć mój ciasny całun, wysilam się, ażeby się zerwać z rozpędem, ale mam jak obróż żelazną na nogach i szyi; nakoniec po silnych wyteżeniach mogę się ruszyć, moje czoło rozbija się o płaskie i lipkie sklepienie, które mnie sobą przytłacza. Mam uczucie mego istnienia, widzę stan mój, doświadczam głodu, pali mię pragnienie; nateżam usta, ażeby schwycić wiszący korzonek, zwilżyć mój język spieczony wilgocią sklepienia. Nic uchwycić niemożę, usiłuję płakać, ażebym mógł wypić łzy moje, lecz moje oko suche zostaje. Probuję znosić wszystko spokojnie, ale kończę rozpaczą. Dopiero po gwałtownym jej wybuchu odzyskuję wolność, po wielu głuchych i przytłumionych łkaniach krzyk wychodzi z mych piersi i przebudza mnie; jednak wiele mi jeszcze czasu potrzeba do przekonania się, że okropny sen już przeminął. Czegoż chcą odemnie sny te? jakież pakta z nimi zawarłem? Codzienne te widziadła sprawiają, że mam w obrzydzeniu sen, jedyne pocieszenie, przez niebo w darze ofiarowane nieszczęściu. Jestże to sprawiedliwie, ażeby po dniu trującym w wytechnieniu snu znajdować kłamstwa okropniejsze od rzeczywistych cierpień? I któż ten świat stworzył? Ach! to mię do bluźnierstwa przywiedzie!

— Mój bracie, mój bracie! zawołała Stelina cała we łzach, uspokój się, nie mów więcej, twoje ręce rozpalone, tyś chory...

— Nie, nie, chcę wszystko ci powiedzieć tego wieczora, wszystko, potem nic ci już nie powiem o sobie... słuchaj, słuchaj jeszcze, a nadewszystko staraj się mię zrozumieć; wymagam od ciebie więcej aniżeli pojęcia, żądam odgadnienia, pochodzimy z jednej krwi, nasza organizacya jest tażsama; powiesz mi, czy mię zrozumiesz.

— Gdy siedziałś przy boku moim, lub gdy ci podawałem rękę do przechadzki, często w mem życiu zdarzało mi się być uderzonym osobliwszą myślą. W względnym stosunku przedmiotów zewnętrznych do nas, w przypadkowym rozbiorze naszych ruchów, spojrzeń, pod takim błękitem nieba, takim kształtem obłoków, takim pasmem gór, taką barwą dnia, zdają się zagnała przyponinać sobie, że w nieznaney epoce mego życia te same rzeczy, te same widoki, te same czucia przedstawiały mi się bez żadnego wyjątku. Wtedy dane mi jest widzieć moje wspomnienia w rzeczywistym obrazie. Prawda, że to wrażenie jest przemijające, że zaledwie zrodzone już się ulotnia, ale wzruszenie, które następuje po niem, jest tak mocne, iż nie mogę się mniemać ofiarą uludy, i przytem nie wiele dni jest przerwy, ażeby te wstrząśnienia wyobraźni nie były ponowione. Przypominasz sobie wesele pana Korsini, wiesz, że uległem twojej ciekawości, i że wracając z niesporów San Pietro in Montorio weszliśmy do ogrodu szlachetnego nowożeńca, ażeby widzieć ucztę godową...

— Tak, tak, pamiętam ten dzień, rzekła Stelina. O! jakżeś ty był blady wracając w wieczór do domu.

— Dowiesz się dla czego, moja sestro! Ogród Korsinego był oświecony, noc piękna przesiąkła wonią drzew

cytrynowych, wierzchołki jodeł zawodziły szumiący śpiew po grzbiecie Janikula, radością i szczęściem zionęło powietrze, zdało mi się, iż w innym świecie żyję. Przechadzaliśmy się w cieniu, oddzielnie od tłumu, usiłowaliśmy być szczęśliwymi nie wielkim kosztem, wonią wzgórza, dalekim odgłosem weselnej muzyki i słodkim pomrukiem kaskad. Nigdy przedtem niewchodziłem do ogrodu Korsinięgo, z tej strony nie widziałem Rzymu, Janikulu, cienia jodeł, cytrynowych ulic. Nagle—coś się stało w powietrzu, w ogrodzie, w odbiciach świateł balowych po marmurowych chodnikach, w połączonem brzmieniu muzyki, wód i śpiewu, coś się stało w kształcie tajemniczego wspomnienia, co wbiło nogi moje w trawnik, po którym chodziłem. Spojrzałem na ciebie, a wzrok twój był w moich oczach utkwiony; drugi to raz w życiu takim na mnie rzuciłaś spojrzeniem; po raz to drugi widziałem twą postać słodko pochyloną, jak gdybyś czekała na pocałowanie małżonka; po raz drugi wstrzymaliśmy się tak oboje, gdy gwiazdy błyszczały, kwiaty wonią przepełniały powietrze, gdy tańczono po marmurze, gdy szyby pałacu strzelały blaskiem po korach jodeł, gdy serce topniało miłością i tajemnica namiętności objawiała się w wszystkich głosach nocy. Po raz to drugi Stelino! widziałem cały ten obraz, czyli raczej, ujrzałem go znowu... Lecz pierwszy raz? pierwszy! o! otóż to otchłań niezgłębiona... ale niezawodnie nie w mojem życiu terażniejszym, nie w mojem życiu osmnastoletniem widziałem to wszystko!

— Moja siostro! owe myśli, ów szal, owa gorączka, wszystko to mię zabija; może to jest szalenstwem i czasami dosyć bywam rozsądny, ażebym tak mniemał; lecz szalenstwo lub nie, co mię ma obchodzić, kiedy ta choroba jest śmiertelną? Nie sądź przecie, że ja śmierci się lękam, śmierć może będzie początkiem mego życia! Uważam sie-

bie za człowieka, któryby prędko oswoił się ze śmiercią. Ale nie jestem sam, moje biedne dziecię! Chcę żyć, ponieważ to nazywają życiem, co robię, chcę zaradzać twoim potrzebom jak ojciec, moja dobra siostrzo! Ty mnie potrzebujesz, dobrze więc Stelino! uzdrowię się. To tak powietrze Rzymu zatruwa mnie, nic nie znam smutniejszego nad smutek tego miasta, chyba tylko jego wesołość. Ja, tak wrażliwy na zewnętrzne przedmioty, potrzebuję pewno żyć pod milszem niebem, w jakim miejscu wesołem i pojętnem, jak ich znajduje się tyle nad brzegami morza. Morza mi potrzeba, powiadają, że w Neapolu jest ono błękitne i piękne, zdolne orzeźwić krew potępieńca; idźmy do Neapolu! zdaje mi się, że będziemy szczęśliwi w jakiej chatce Ischii, u stóp Pauzylipu. Jutro pójdę odwiedzić Salwatora Rozę, Neapolitańczyka, lubi on artystów, lub zdaje się ich lubić; będę go prosił o radę, udzieli mi jej, ona tak mało kosztuje. Odległość jest niewielka, nasza podróż prędko się urządzi. Zezwalasz na to moja siostrzo? Chcesz iść do Neapolu? — Stelina uściśnęła Odoarda.

—Pójdziemy! rzekł Odoardo, bóg sam bez wątpienia natchnął mię tą myślą.

Przybyli przed drzwi swego domu. Była to ulica odludna, wszystkie światła już w niej pogasły, zdala dawał się tylko widzieć słaby połysk lampy przez szyby ś. Teodora, i słychać było szmer wodotrysku, co w końcu ulicy spadał na Campo Vaccino.

IV.

SALWATOR ROZA.

Smutnym jesiennym porankiem Odoardo wyszedł z ulicy ś. Teodora, i dostał się na drugą stronę Tybru

w jednej z tych małych łodzi, co stoją uwiązane u kolumn świątyni Westy. Zwolna wstępował na górę Janikula, i dosięgłszy szczytu wszedł do kościoła San Pietro in Montorio dla słuchania mszy świętej. Biedny młodzieniec wygnany ze świata na łonie boga lubił szukać schronienia. Ukląkł przed obrazem Przemienienia, pędzła Rafaela, a promienne arcydzieło natchnęło go tem uspokojeniem, tą lubą błogością, jaką sztuki piękne z sobą przynoszą. Odoardo przyrównywał siebie do młodego opętanego na obrazie, do tego dziecięcia dręczonego przez złego ducha, i wzrok wznosił ku szczytowi góry, ażeby orzeźwił swoje lice w tym promienistym widnokregu, gdzie bujają wybrani boga, w tym obloku niebieskim i przejrzystym, jak wieczorny zmierzch nieba miłym jest dla oka. Wyszedł z kościoła i usiadł na kamieniu przyroźnym, czuł się byź lekkim i pogodnym, jak gdyby z góry Tabor zstępował. Miasto wieczne, u jego stóp rozciągnięte, jak liść opadły połyskiwało jaskrawą barwą pożyczoną od wschodzącego słońca — barwą smętnego uroku, daleką od ponurości, jedyną może, co nie razi wzroku udręczonego człowieka; gdyż nie lśni ona ćmiącemi i szyderczemi promieniami szczęścia, nie uderza maskowaną posepnością, co rozpacz naprowadzać zwykła. Odoardo bliskim był wyrzeczenia się swoich odwiedzin. Ten Rzym, któremu tyle złorzeczył wczora, dziś przedstawiał mu się w całej swojej majestatycznej ciszy, której sam widok jest już pociechą. Wycierpiała ona wiele, ta stolica konsularna, ta królowa stolic, ten Rzym cesarski, a jednak żadna skarga niewy dobywa się z jej pokaleczonego łona. Gród bałwochwalczy lub święty, zlany lustralną czy oświęconą wodą, potrząsa on podwójną palmą stoicyzmu i męczeństwa. Widziana z Janikulu jakże piękną była ta stolica, pocieszycielka strapionych! Zawsze w żałobne przyodziana barwy, jak

Rachel i Niobe, zawsze nie pocieszona, ponieważ grób już pochłonął tak głośno słynne jej dzieci, nad gwiazdy niebios liczniejsze. A jednak, co za wspaniałe pobbżazanie w sercu skrwawionego grobu! Ręce chrześcijańskie udzieliły pomocy runącym murom kolizeum, synowie męczeńników pobożnie ustawili w kapitole wizerunek boga, zbryzgany krwią ich ojców. Dłoń pokoju czuwa zarówno nad piramidą Kajusa Sekstusa i nad przyległemi grobami ś. Sebastjana. Cienie konsulów mieszają się z cieniami świętych, tryumfalne kolumny i dzwony, obeliski i wieże kościołów, wilczyce karmicielki i znamiona krzyża pobratymczo z sobą się łączą. Odoardo w chwili opuszczenia Rzymu wyznał przed sobą, iż kocha to miasto. Pojął, że wszelka skarga, wszelkie nieszczęście, z wyobraźni wypływające zwłaszcza, umilknąć i ukorzyć się powinny przed tą stolicą ruin, monarchinią grobów. Już postąpił kilka kroków, ażeby zejść z Janikulu, gdy wstrzymał się nagle przed okiem nieznanomego siedzącego pod Acqua Paola.

Był to człowiek wspaniale ubrany, palce jego rubinami i szmaragdami błyszcząły, jedwab, aksamit, koronki, drogie kamienie układały się na jego postawie z prawdziwym smakiem artysty a przy boku wisiała szpada w pochwie bogatej. Głowa jego odznaczała się jeszcze więcej, niż jego strój książęcy. Na twarzy wybijały się rysy zdolne wszystko wyrazić. Wzrok gieniuszem błyskał, usta szyderym tchnęły wyrazem, a wieniec włosów kruczych całej jego postawie nadawał wyraz posępny i groźny.

— Zdajesz się być bardzo smutny, młodzieńcze! przemówił nieznanomy do Odoarda, czy utraciłeś swoją kochankę? To zapytanie uczynione było głosem tak ży-

wym, tak giętkim, tak nakazującym, że Odoardo do odpowiedzi zmuszonym się być zdawał.

— Panie, rzekł, dziękuję ci za niewolącą interesowność, jaką mi okazujesz nieznając mię. Na nieszczęście nie mam co odpowiedzieć waszej ekscelencyi.

— Mój przyjacielu, rzekł żywo nieznajomy, nie jestem szlachcicem, i ażeby nim być niedbam wcale, jestem równy tobie, mów ze mną bez ostrożności i obawy; potrzebujesz usługi? czy chcesz pieniędzy? postać twoja podoba mi się, oko twoje błyska ogniem artysty, lice twoje blade nie bladeścią cierpienia, gdyż silny jesteś, ale natężeniem myśli. Zwierz mi się, no, mów, chciałbym ci zrobić przysługę.

— Ale komuż mam dziękować za tyle dobroci?

— Czyż cię pytałem o imię, ażeby ci zrobić przysługę? dla czegoż o moje mię pytasz? ale szanuję twoje powody, musisz być szczery i dobry. Jestem Salwator Roza. Teraz przyjmujesz moją ofiarę?

Na to imię Odoardo pokłonił się z uszanowaniem.

— Mistrzu, rzekł z wzruszeniem, bóg to zapewne przywiódł mnie przed oblicze twoje, szukałem cię. Wiem, żeś dla artystów uczynny. Jestem malarzem z upodobania i rzemiosła, siostra moja i ja żyjemy z pędzla, pracuję dla pana Korsini, którego pałac ztąd widać; potrzeba podróżowania daje mi się uczuwać, Rzym jest jedynem znanem mi miastem, gdyż nie liczę w to Ostyi, gdzie się urodził, jeżeli się rodził gdziekolwiek. Chciałbym widzieć Neapol i morze, jest to więcej jak życzenie, jest to potrzeba. Moje życie, które należy do mojej siostry, może od tej podróży zawisło. Ty mistrzu, co Neapolitańczykiem jesteś, daj mi naukę i radę, to jest wszystko, czego wymagam od twojej dobroci. Pieniądzy mam dosyć, ażeby żyć, jeżeli to jest życiem, co robię.

Salwator Roza wpatrywał się w Odoarda nie odpowiadając mu, a Odoardo czekając odpowiedzi końcem palca pisał imię Steliny po wodzie czystej i gładkiej wodotrysku Pawła. Salwator nie ustawał w wpatrywaniu się w twarz Odoarda, czasami tylko wznosił oczy ku niebu, jakby dla zdania sobie sprawy z błędnego wspomnienia.

— Jakie jest imię twoje? zapytał go głosem zafrowsanym.

— Odoardo! — i uśmiechnął się.

— Odoardo! Tak zdaje mi się, że to to. Ależ tyle jest Odoardów! a twoje nazwisko?

— Zawsze Odoardo, odrzekł z westchnieniem.

— Gdzie mieszkasz w Rzymie?

— Na ulicy ś. Teodora naprzeciw kościoła.

— Czy przypominasz sobie, ażebyś przed tem spotkaniem widział mnie kiedy, Odoardo?

— Nigdy.

— A ja! o tak, ja widziałem ciebie, ale już dawno. Gdzie? nic tego nie wiem. Wspomnienia moje mieszają się. Wieleż masz lat?

— Ośmnaście.

— Ośmnaście? Salvator schylił głowę i oczy zamknął, jak gdyby przypominał co sobie.

— O! tak, widziałem cię, widziałem, masz siostrę powiadasz? jakże jej na imię?

— Stelina.

Salwator uczynił znak zdziwienia.

— Czy to tylko twoja siostra?

— Ale tak.

— Może twoja żona, kochanka...

Odoardo straszliwym wzrokiem cisnął na Salvatora.

— O! nie obrażaj się pytaniem mojem młody mój przyjacielu! nie z ciekawości to tylko zapytuję cie-

bie; imię twojej siostry uderzyło mię, słyszałem już je w mem życiu, podobno pisałem je nawet, ale zdaje mi się, że ona nie była siostrą tamtego, pamięć moja mię zdradza, nie wiem sam, co mi się wydaje. Brunetka jest twoja siostra, nieprawdaż? oczy...

— Nie, moja siostra jest blondynka.

— Tak, tak, blondynka z czarnemi oczami, postać anioła.

Odoardo umilkł i zbladł.

— W istocie pomieszały mi się szyki, kochany Odoardo! tracę ślad mych wspomnień; prawda, że moje życie tak pełne, iż trudno wszystko pomieścić w mej głowie. Jest to nieład przedmiotów... aleś ty błydy Odoardo! czyś cierpiący?

— Nie.

— Twoja postać wykrzywia się, nie jest to postać żyjącej istoty. O! pozwól mi schwycić w przelocie ten wyraz przestרחu, ten odbłysek nie tego świata. Rozwinął arkusz papieru i porwał ołówek. Jednej tylko chwili żądał od ciebie, niezdolał nigdy wynaleść doskonalszego wzoru (rysował). W tem sercu jakaś myśl z piekła się gnieździ. Nie domyślałem się, że w Acqua Paola znajdzie się moje widziadło. Wszyscy ci Włochy wieczny uśmiech mają na ustach. Nakoniec znalazłem jednego chmurnego jak szatan. Trzydzieści talarów złotych dałbym za tę jedną chwilę. No, patrz na mój zarys Odoardo! Chcę cię unieśmiertelnić. Podziękuj przypadkowi. Oto jest twoja głowa, pożyczę ją memu cieniowi Samuela, wywołanemu przez wieszczkę Endoru. Obraz mój przedstawia chwilę, w której ty wychodzisz z grobu...

— Morderco! krzyknął Odoardo głosem gromu, milcz, lub cię przebiję sztyletem!

Salwator Roza stanął jak wryty, pozwolił sobie wydrzeć rys głowy Samuela, który Odoardo podeptał. Wyszedłszy z pierwszego zdziwienia malarz na cały głos się rozśmiał i przywołał Odoarda; ale nieszczęśliwy młodzieniec z takim pośpiechem schodził z spadzistego szczytu Janikulu, iż zdawało się, że myśl rozpaczy do Tybrugo pędzi.

Odoardo ukazał się swojej siostrze drżący od wzruszenia i biegu. — Czy widziałeś Salvatora Rozę? zapytała go. — Widziałem. — Czy dobrze cię przyjął? — Dobrze. Udzielił ci rady? — Udzielił. — Idziemy do Neapolu? — Idziemy. — Kiedy? — Jutro.

W cztery dni potem Odoardo i Stelina weszli do skromnej gospody pod lirą Apolina na ulicy jodłowej w Neapolu.

V.

KLASZTOR SWIĘTEGO MARCINA.

Neapol jest to miasto, które może dać przychodniom wszystko, co tylko przychodzić od niego zażąda, ta Wenecya śródziemnego morza, szalona lub poważna, jak jej adryatycka siostra, mieści w swoim łonie kwiaty i lawy, cień i słońce, ulice pałaców i ulice grobów, góry poobnażane i wyspy pomarańczami zrumienione, złożone cedrami. W Neapolu nieszczęście podobne jest do szczęścia reszty ziemi, w Neapolu szczęście więcej ma wartości, aniżeli nazwa jego wyrazić zdoła. W Neapolu człowiekowi, co powiedzieć może: „Jestem szczęśliwy,“ same duchy niebieskie zazdroszczą. W chwili słodkiego urojenia przy-

rodzenie rzuciło zarys malowniczego krajobrazu, zlekka odcieniowało wzgórze, zaokrągliło z wdziękiem zatokę, zalało ją najpiękniejszymi nurtami, jakie kiedykolwiek błękit morza krasił, wyspy palm i kwiecista zlekka po tych się falach kołyszą, w czarownych wieńcach zawiesiło po widnokregu jodłowe lasy, winne macice o liściach szerokich, gęste sploty drzew cytrynowych, akacje o przejrzystym cieniu, drzewa Judei i Grenady, które swojej szkarłatnej barwy mieszają z śnieżnym jazminem Gwadal-kwiwiru; przyrodzenie utworzyło Neapol, Misenę, Sorent, Pauzylip, Ischię. Szatan na ten widok zapłonął zawiścią i cisnął Wezuwiusz przed oblicze rokosznego grodu. Neapol przyjął dar szatana, wulkan, jak o filozoficzny, zarys krajobrazu. ostateczny zbiera w swoje łono całą mądrość poetów łacińskich, on to przez swój otwór zionie głosem strasliwym: „O wy, co życie, zrywajcie dnie jak kwiaty, kwiat jest krótko trwały, oddychajcie wonią jego, póki on świeżością oddycha! Śmiertelni! używajcie życia, i życie trwa krótko, dziś kochajcie i śmieJCie się, jutro wam umierać trzeba!“

Niema nadziei szczęśliwego życia na świecie, póki się go nie ujrzy w Neapolu, choćby na jedną tylko chwilę. Odoardo, dobrowolny Rzymu wygnaniec, u podnóża Pauzylipu jakiś cień błogości uzyskał. Z upodobaniem swojej sztuce się oddał; malarstwo stało się dla niego więcej jak rorywką, było prawdziwą rokoszą artysty. W wieczór, w towarzystwie dumającej Steliny szedł wpatrywać się w te czarowne tła horyzontu, te ruchome odbicia kolumn po falach, tę fantastyczną lunę lasów nadbrzeżnych, te szczyty promienne po nad dolinami zasutemi zmierzchem, wszystką tę malowniczą całość powiewnej i mglistej światłości, która towarzyszy słońcu morskemu przy jego zachodzie. Powracał potem do swojej skrom-

nej gospody z myślą mniej smutną i zapasem uspokojenia do snu nocnego. Lecz ognisty młodzieniec przynosił z sobą także z swojej przechadzki tajemniczą potrzebę miłości, której skryty powód pojmował. Nie wszystkie jego spojrzenia poświęcone były krajobrazom zatoki. Widział on przesuwane się w łodziach powabne i giętkie postacie, postacie pełne świeżości z włosiem powiewnym, osute mgłą tkanin jedwabnych — czarodziejskie zjawiska, co się tak harmonijnie mieszały z połyskiem zatoki, z miękką omdłością wzgórzów złożonych, z kobiercem trawnika plukanym przez fale, z tajemniczemi grotami dalekiego przylądka. Wróciwszy do siebie usiadał jak człowiek znużony trudami, a był tylko tęsknotą miłości wycieńczony. Wtedy Stelina stawiała lampę na stole i z niewinną poufałością siostry w swoich obnażonych ramionach kryła głowę Odoarda, przyciskała usta do jego czoła.

—Moja sestro! mawiał jej czasami Odoardo, twoje pieśczoty nie dobrze mi robią w wieczór przy tem świetle lampy. Ja, ja w dzień tylko śmiem uściskać ciebie, zostaw mię samego Stelino, zanadto potrzebuję przypominać sobie, żeś moją siostrą. Jest to przypomnienie słodkie, nieprawdaż? a jednak! jednak ono mię zabija. . .

Młoda dziewczyna okryła się rumieńcem, do odpowiedzi nie znalazła słowa; Odoardo patrzył na odchodzącą i nie miał siły, napowrót ją przywołać, z rodzajem zbrodniczej rozkoszy przysłuchiwał się odgłosowi kroków swej siostry, słaba zaporą dzieliła ją od niego, słyszał tkliwą psalmodję wieczornych jej modłów, szelest spadającej szaty, lekki szmer łóżka przyciśnionego ciałem młodej dziewczyny, jej ostatnie pocałowanie złożone na obrazie madony. Odoardo otwierał okno, ażeby twarz swoją nocnym powiewem morza orzeźwić, lecz powietrze, przesiąknięte miłością i wonią, tylko pokusą i szalem wionęło

na niego. Jeżeli usypiał na chwilę, siostrę tylko widział w snach swoich, siostrę swoją, od najurodziwszej Neapolitanki piękniejszą, siostrę swoją na brzegu morskim siedzącą, jak kochankę oczekującą na słodkie sam na sam, wołającą na niego głosem miłością omdlałym. Odoardo przebudzał się z przestachem i upadał na kolana błagając Boga o przebaczenie za zbrodnię, której nie popełnił.

Jednego rana, po walce z widziadłami nocy, powiedział Stelinie, ażeby szła za nim. Chciał się on oczyścić błogosławionem powietrzem góry kartuzów; był to jeden z dni krzyżowych, dzień uroczystości pełnej poezji i wdzięku.

Przed wschodem słońca przybyli do tego wspaniałego klasztoru, który pobożność Karola d'Anjou wzniosła na cześć ś. Brunona. Obrzęd błogosławieństwa miał się wkrótce rozpocząć. Nic bardziej pocieszającego i piękniejszego nad ten klasztor o marmurowych kolumnach, olśniony blaskiem promieni wiosnianego poranku. Wielkie, szczytne postacie pędzla Espagnoleta zdawały się ożywiać i radować pod tem sklepieniem nieba. Odoardo wylewał łzy radości, rozkosz religii czystym go unosiła zachwytem. Rozwarto na ościern podwoje kościoła, wszystkie dźwięki góry, cała woń zatoki, wszystkie promienie wschodzącego słońca wpłynęły potokiem pod sklepienia klasztoru. Celebrujący kapłan wstąpił pod wystawę i błogosławił płody rolnicze, błogosławił miasto i morze.

Odoardo w uniesieniu szczęścia: Co za rozkoszne mieszkanie! zawołał.

— *Transeuntibus!* wyrzekł głos dźwięczny i powolny za plecami Odoarda.

— Jest to myśl bardzo głęboka, jeżeli tylko prawdziwa, rzekł zoicha młodzieniec i wszedł za kartuzem,

który wyrzekł tajemnicze słowo, do odosobnionej i pustej kaplicy.

Zakonnik obejrzał się na szelest kroków Odoarda, w tej chwili promienie światła oświeciły postacie Odoarda i Steliny.

Odoardo chciał tylko zaspokoić swoją ciekawość, ujrzał twarz kartuza i prosił go o błogosławieństwo. Zakonnik żywo ręce na piersiach skrzyżował, potem wznosił je ku sklepieniu i wstrząsnął niemi z kowulsyjnym wzruszeniem; postać jego pobladła: Wskreszeni! wykrzyknął głosem tak mocnym, że zgorszeniem napełniłby kościół, gdyby go nie przygłuszył był chór litanii świętych.

— Wskreszeni! rzekł Odoardo z drżeniem, kto?

— Ty, ona, wy oboje.

— Co mówisz mój ojczu?

— Zkąd wychodzicie widziadła? Tutaj jest dóm boski, mary powinny się wstrzymać u proga.

— Mój ojczu, mój ojczu! miej litość nademną, miej litość nad moją siostrą!

— Ona, twoja siostra? Wzieliście więc rozwód w piekle?

— O! mój ojczu, łaski, łaski, pobłogosław nas!

— Ja! żebym błogosławił mary Odoarda i Steliny.....

— Zna nas! zna nas! o tajemnico śmierci!

— Tak, tajemnica! tajemnica dla ciebie, tajemnica dla mnie, niech tak będzie! Zbadamy my ją. Czyście żywi czy umarli, wszystko musi się wyjaśnić! Słuchajcie: czy widzicie tam przed sobą Wezuwiusz? czy widzicie ten wieniec wielkich jodeł, co wygląda z zwałisk tam po drugiej stronie zatoki? to Otayano. Tego wieczora macie się tam udać o godzinie szóstej i czekać na mnie. Jeżeli was zastanę, będzie to dowodem, żeście żywi i wskreszeni; natenczas..... będę miał powinność do spełnie-

nia..... jeżeli was tam nie ujrzę, wrócę do klasztoru, nie wyjdę już z niego. Mają oko na mnie, wychodźcie.

Odoardo i Stelina zwolna wyszli z klasztoru milczący i zgnębieni, zdawałoby się, że grom w nich uderzył, czyniąc im życie niezrozumiałem. Niekiedy Odoardo wypuszczał niedbale z ust swoich te słowa: Tego wieczora,.... o szóstej godzinie... Otayano...

Wrzawa Neapolu była mu zbawienna tą razą, wchodząc do miasta odzyskał cokolwiek energii, dumnie wzniosł czoło pochylone od czasu wykrzyknienia zakonnika. Moja siostró! rzekł, potrzeba zgłębić tajemnicę, posilmy się nieco i spoczniemy, potem najprędzej jak tylko można spieszymy do Otayano. Chciałbym o wiele naznaczoną godzinę uprzędzić.

Wiosna najrozkoszniejszym wieczorem osłoniła pełne świeżości wzgórze, wieńczące dolinę Otayano. Na morzu, słońcem prostopadle oświeconem, panowała cicha i złocona cisza, zieloność wysp wzdymała się zlekka powiewem wieczoru, Pauzylip uśmiechał się do zatoki, miasto zionęło gwarem wesolym i donośnym, fala i nadbrzeże zdawały się uginać w miłośnem omdleniu przed pomarańczowym kwieciami Sorentu, Jschia promieniła się złotemi nurtami i oświeconemi drzewy, Procida przesyłała jej wonie i śpiewy. Neapolowi, lubieżnej syrenie, niewystarczał jego widnokrąg do rozkosznego rozciągnięcia się na słońcu, tysiącami wysyłał on swoje łodzie na zatokę, na przyładki, na morze. Powietrze drgało życiem, szeptało językiem miłości, wiejąc w żagle, w liny, pawilony, maszty, Wezuwiusz tą radością przyrodzenia rozczulony się być zdawał, lekki dym w barwie lazuru i róży miękko wlatywał z otworu. Wydawał się on być godłem żalu, gasnącego w sercu szczęśliwego człowieka.

— Powiedz mi mój bracie! rzekła do Odoarda młoda dziewczyna, czy ten piękny wieczór nie pojednał cię z życiem? wiesz, że słodko jest żyć tutaj, że powietrze jest lekkie, że wszystko, czem się oddycha, wszystko, co się widzi, tutaj do szczęścia jest podobne! nieprawdaż Odoardo?

— Tak, tak, moja siostro! wszystko to podobne do szczęścia; lecz rzuć wzrokiem za siebie, widzisz tam tę górę, co grozi i pali? Tak, tak wierz w szczęście; zły to duch ale nie anioł Tobiasza czuwa nad nami, gdy ustrzeże od jednego złego, to dla tego tylko, ażeby gorszem nas obarczył. Niebaczne dziecię! Czy nie wiesz, po co przychodzimy tutaj? Czy sądzisz, że po to, ażeby się radować, patrzeć, żyć zachwytem, pić woń powietrza, jak ten ptak szczęśliwy, co zawodzi pienia po nad głowami naszymi? Nie czujeszże całej mocy tego urągania, którem przez wszystkie głosy szczęścia los szyderczo do nas przemawia? Zapominaszże, że jeszcze brakuje tu kogoś, czarnego jak paszcza wulkanu, który nadchodząc tu wkrótce zaćmi nasze słońce, jak gęsta mgła uraganu? Biedna Stelina oddała się zachwyceniu! Ja umiem się mieć na baczności przeciw tym kłamstwom, co nas otaczają. Usiadłszy tu, pod tą jodłą, nie widziałem nic jeszcze z tego, co cię uniosło zachwytem, ciebie! Neapol, jego zatoka, jego wyspy, jego przystań, jego wzgórze, wszystko to zostawiam innemu o'cu, nie memu, oku, co łąz się nie ćmi; co widziałem, to ten zamek w gruzach, te rozsypane mury przemawiają jakąś tajemnicą śmierci, co zatrzuwa powietrze, jodły, wyspy i fale. Co się z nim stało, z panem tego gmachu? Dla niego także to morze było piękne, to niebo promienne, ta atmosfera rokoszna, nie zawsze porastało ziele po rozpadlinach posadzki, ten szmer drgał zapewne pod szaleń uczt letnich; ileż to postaci kobie-

cych jaśniało po tych krużgankach, co się dziś wała! A to wszystko moja sestro! uleciało jak ta mgła dymu, co się wije po nad Soma. Gruzy tylko zostały, o! gruzy zawsze, w nich przechowuje się życie, gruzy nieumierają nigdy.

(Po chwilowym przestanku). Nie spiesz się on wcale, ten człowiek! Miałbym się omylić? Może to ętu jest miejsce, które mi wskazał?

Gdy Odoardo robił tę uwagę, rzucając wzrokiem do koła dla przekonania się o dokładnem podobieństwie wskazanego miejsca, tymczasem starzec jakiś wyszedł ze drzwi otwierających się u podnóża wieży. Strój jego największą nędzę oznaczał, a jednak po jego ruchach, po rodzaju nawet łachmanów domyślać się można było, że nienależał do rzędu wieśniaków neapolitańskich. Była to mara odźwiernego, okryta znamionami zamożnej służby dworskiej w łachmanach. Kilka kroków posunął po dziedzińcu z rękami złożonemi na piersiach, z głową raz spuszczoną, to znowu pochyloną na tył, jak gdyby się rozpatrywał w przestworzu. Potem, zatrzymując się z nagłą pod spruchniałą wystawą, wyciągnął z pod szerokiej poły swej sukni małą mandolinę z strón ogoloconą i głosem drżącym zaśpiewał tę zwrotkę:

Roztworz okno! tam obłoki
 I doliny, góry, drzewa,
 W puchach piany pierś zatoki
 Wenus tchnieniem swem owiewa, —
 Jej rozkoszne tchnienie boże
 Niechaj spływa na twe łóżel

Starzec drzewem mandoliny otarł oczy łez pełne i przechadzał się dalej po trawniku, z rękami założonemi, raz patrząc na niebo, to znowu na ziemię. Nie spostrze-

gał dwoje młodych przychodniów zbliżających się, ażeby do niego przemówić.

—Wybacz mi mój ojczel! jeżeli ci się naprzykrzam, rzekł Odoardo zwracając mowę do starca, czy ta część góry zwie się Otayano?

Starzec wstrzymał się drżący cały, jak gdyby głos jaki przebudził go nagle, w Odoarda i Stelinę wlepił wzrok obłąkany, pierś się jego wzdęła, ręce ciężko opadły, żyły szyi pokryły się czarną powłoką, z gardła i nozdrzów ciężki i głośny oddech wychodził, potem postać jego rozradowała się w przystępie gorączkowej weselości, głosem grzmiącym wykrzyknął: Stelina! Odoardo! Ach! mój boże! Ach! wiedziałem ja dobrze, że wy nie pomarli! nie, anieli nie umierają nigdy; moje pocziwe dzieci! Moje młode państwo! Zkądże przychodzicie? o! jakże wasze suknie są brzydkie! Stelino, coś uczyniła z suknią hiszpańską, ona ci tak była do twarzy? Tańczą, tańczą wszędzie; to jest dzień waszego wesela, bardzo bladą jesteś w dzień twego ślubu młoda oblubienico! Miej baczność na mnicha, piękny nowożeńcze! otóż on! otóż on! Trują cię Odoardo! —O! wykrzyknął Odoardo, przytłoczony nowem dla siebie uczuciem, o! czyliż ja nie śpię Stelino! Moja siostró, moja siostró! wstrząśnij mną, wstrząśnij mną, ukąś moją rękę, kamieniem rozbij moje czoło, ja chcę się przebudzić!

Stelina wydawała głuche jęki i ścisnęła brata.

Był to jakby straszliwy tercet szalonych, starzec śmiał się ustami z wzrokiem nieruchomym i szklannym, Odoardo z włosami zjeżonemi ciąglem poruszeniem głowy na wpół zasłaniającemi bladą twarz jego, Stelina ciśniejąc się do obnażonej i śniadej piersi Odoarda zalewając ją łzami.

—Niepodobna! niepodobna! wykrzyknął Odoardo, rzeczywistość skłamała, jest to niegodziwa zdrada! Ty jesteś zbójcą z komedyi, starcze! nastawiono cię tutaj, ażebyś odegrał twą rolę, puść mię Stelino! puść, niech go przebiję sztyletem!

Sztylet błyskał w żylastej dłoni Odoarda, a piana posiniała okrywała usta. Starzec bez wzruszenia patrzył na wszystko, nie cofnął się, nie wyciągnął ręki do odbicia ciosu, spokojny uśmiech szczęścia przesunął się po jego twarzy, Odoardo cofnął się przerażony.

— Moje dobre dzieci! przemówił starzec głosem smutnym, o! oplakałem już was! łzy wypaliły moje oczy. Wracacie z długiej podróży, nie prawdaż? Chodźcie co prędzej, szlachetni wasi rodzice czekają na was. Patrzcie, jak zamek przystroił się na wasze przyjęcie. Ja to zatknąłem na tej wieży chorągiew Leonu i Kastylii, jak ona igra z wiatrem! Czy widzieliście małżeńską komnatę? o! miło patrzeć na nią!... Są tam dwa najpiękniejsze trupy...

—Milcz, milcz gieniuszu piekła! wykrzyknął Odoardo. Ale czegoż chce odemnie ten upiór starca? Maro, wróć do twojej wieży! Chodź Stelino! wróćmy do miasta... strach mię zbiera.

—Nie opuszczę was moje młode państwo! wszędy pówlokę się za wami, nie odmawiajcie mi tej łaski, żebym umarł przy boku waszym.

— Idź precz, idź precz! Zabiję cię...

—Ach! niewdzięczny jesteś Odoardo. Ja to własnymi rękami szylem twój całun grobowy...

Stelina zaledwie zdążyła odbić cios sztyletu, ześliznął się on po ramieniu nieszczęśliwego szaleńca, a krew pociekła po jego lachmanach.

— Mój bracie! mój bracie! stajesz się mordercą! o bożę! czuwaj nad rozumem jego!

Starzec niezważał ani na cios sztyletu, ani na krew z ramienia swego płynącą. Odoarda widok krwi uspokoił trochę, przybliżył się do starca, z interesownością opatrując jego ranę i przemawiając łagodnie.

Starzec biedny dłoń Odoarda odtrącił, szkarłatny rumieniec rozświecił pomarszczone jego policzki, błyskawice wytrysnęły z burzliwego lazuru jego oczów.

— Nie! nie! wykrzyknął głosem donośnym, nie! wy nie jesteście moje młode państwo! Oni już pomarli, o tak, pomarli, ja czułem woń ich trupią, ja, gdy gnili na słońcu! Wy jesteście dwie mary wyszłe z piekła w postaci Odoarda i Steliny. O! jakże oni do upiorów podobni, nadewszystko ten! o! jakież zapach siarki z sobą przynoszą! Wychodźcie szatany, czarty! Bracie Gandolfo! spiesz odmówić modlitwy zaklęcia! o piekło! Jakże oni zgrzytają zębami! Odoardo żmije wypłuwa! Mary, mary! precz ztąd! o! ona piękną jest! ona, ale patrzcie na jej włosy, to węże, a jej język, to płomień arseniku! Los Vegas! Otayano! chodźcie ukamienować te mary, co ciała waszych dzieci pokradły! San Stefano kamieni wam dostarczy! Otruto wasze dzieci, to mieszczanin Marko Teona w sukni mnicha truciznę nalewał. Dobrze zrobił mnich Marko. Któż to, jeżeli nie Los Vegas przez zazdrość znieważył Teonę właśnie w dzień jego ślubu z piękną Rzymianką? Ja byłem świadkiem zbrodni, ja. Mnich się zemścił, Teona się zemścił, zbrodnia za zbrodnię, Teona nie z krwi szlacheckiej pochodził, postapiono z nim jak z bydłkiem. Teona się zemścił, dobrze zrobił. Brawo Teona!

I starzec szybkim krokiem zwrócił się ku ruinom, wznosząc ręce do nieba i wykrzykując: brawo Teona!

Inna znowu postać pojawiła się na widowni.

Był to kartuz w sukni wieśniaka, zwolna kroczył po małej ścieżce i zwracając się do Odoarda:

—Chodźcie za mną, rzekł tajemniczym głosem.

Mnich postępował ku ruinom pewnym krokiem człowieka, który wie, gdzie idzie. Przebył mały dziedziniec cały zarzucony kamieniami i chwastem, i wszedł do przed-sionka zasypanego gruzami, gdzie zdawały się wic wschody prowadzące do pokojów górnego piętra. Pierwsze stopnie wschodów były zniszczone, on i Odoardo zastąpili je kamieniami pozbieranymi z rumowiska. Stelina z trudnością stąpała za nimi po tych szczeblach ruchomych, nakoniec dosięgła poręczy drżących pod konwulsyjną dłonią Odoarda. Trzej aktorowie tej sceny dostawszy się do pierwszego piętra przeszli spustoszałą galeryę, której rzeźby całkiem już prawie zniknęły. Po murach świeciły się straszliwe złorzeczenia przeciw Hiszpanom, krwią zdawały się być pisane. Przy końcu galeryi ukazały się drzwi zamurowane, nieznajomy zatrzymał się przed nimi i z pod fałdów swego płaszcza wyciągnął ogromne narzędzie żelazne.

W mgnieniu oka zrobiony był dość szeroki wyłom. Ciemność panowała w tej sali, której okno równie jak drzwi było zamurowane. Nieznajomy wszedł pierwszy i wykruszył mur okno zasłaniający.

—Wszędzie, rzekł do Odoarda, teraz tu jasno! I cisnął na ziemię swój młot żelazny. Odoardo, Stelino, czy poznajecie ten pokój?

Stelina była umierająca, usiadła w krześle i nic nie odpowiedziała.

—Jakże chcesz, żebym go poznał? odrzekł żywo Odoardo, ja niebyłem nigdy w Neapolu, a ta sala zamknięta. oddawna.

—Dobrze więc! rzekł zimo nieznajomy, jest to wasz pokój małżeński, jest to pokój, w którymście umarli.

—Ach! kiedyż się skończy sen ten? wyjąkała cicho Stelina. Odoardo był w rozpacz i okropnym wzrokiem rzucał na około siebie.

—Spełniono tu jakąś zbrodnię! ten marmur to zaświadcza, ten marmur pił krew lub pot podwójnego skonu, widoczne na nim ślady dwóch trupów.

— Tak, prawdę powiadasz Odoardo! tu byłeś struty, ty i twoja żona, oto jest ślad trupa Steliny, a to jest ślad twego. Te dwie pochodnie oświecały twoją noc ostatnią, te suknie są twoje, a to są szaty twej żony; możecie znowu je przybrać, przystaną do miary, oto jest twoja szpada, na której srebrnej rękojeści litera O wyryta. Czy poznajesz twoją cyfrę Odoardo? oto jest łoże ślubne, nigdy nie spałeś na niem młody małżonku!

— Śnie piekła! zawołał Odoardo w nadmiarze szaleństwa, najświętsza panno! przybądź mi na pomoc! Czy mi się teraz niewydaje, jak gdybym poznawał ten pokój? To wspomnienie jak błyskawica było ulotne, alem je schwycił w przelocie Stelino!...

— Chodź, chodź mój bracie! wyjdźmy, albo umrę tutaj, tak, umieram!...

—Po raz drugi! rzekł nieznajomy spokojnie.

Nigdy postać człowieka wydać nie zdoła wewnętrznego poruszenia Odoarda na tę odpowiedź przeszywającą swem zimnem.

Nieznajomy mówił dalej:

— Młodzi ludzie, niczem to jeszcze! jesteście tu w mej mocy i nie wyjdziecie, pokąd wam nie pokażę wszystkiego. Zastraszam was, prawdaż? Musisz być bardzo nikiemnym, nie ty słaba kobieto! ale ty, co masz już spojrzenie mężczyzny i serce jego posiadać się zdajesz; patrz, czy ja zadrża-

łem, ja, Odoardo! Patrz na twarz moją, jest pogodna, palce moje nie drżą konwulsyjnie, puls mój spokojny. Jestem w miejscu, które mi przypomina noc, jakiej gwiazdy nie oświecą już nigdy, a jednak jestem spokojny. Przecież, gdy patrzę na was oboje, tu, przed sobą, przed portretami temi w pośród waszych szat godowych, mniej się staję pewnym mojego istnienia, aniżeli waszej śmierci. Dla mnie jesteście dwoma straszliwymi marami, co się wydobyły z grobu, ażeby moje życie zamącić. Powiadasz, że zdajesz się śnić. Odoardo! ja i tej pociechy mieć nie mogę, gdyż twojej szalonej wyobraźni nie mam. Wybornie zdaję sobie sprawę z mego stanu, wiem, że wszystko jest rzeczywistością, co widzę. Ośmnaście już lat minęło Odoardo! jak zamknąłem się w klasztorze ś. Marcina, tam o bogu tylko i o tobie myślałem. Co się przez ten czas na świecie działo, niewiem, i mało dbam o to; o tem tylko myślałem, co uczyniono. W ciszy klasztoru szukałem rozerwania moim wspomnieniom, ulgi cierpieniu, przebaczeniu mym... Po upływie lat ośmnastu uleczenia byłem już bliski. Ujrzałem cię wczoraj, ciebie i twoją żonę!... Niech przeklęty będzie dzień wczorajszy! Chyba tylko czart warowni Sanct Elmo do klasztoru was wprowadził! Moje lat ośmnaście kornego poddania się losowi nie przydały się na nic! Potrzeba mi się puścić w trop zagadki, a jeżeli klucz jej wynajdę, potrzeba, ażeby dłoń moja stała się znowu niewolnicą dawnej przysięgi, którą na grobie mej żony wyrzekłem! Potrzeba, ażeby podjął tę szpilkę złotą i poraz drugi jej ostrzem pisał na piersiach trupa. To wszystko za ciemne jest dla ciebie Odoardo! ale te mury mię rozumieją, słuchając mię drży ten marmur. O! bóg mi jest świadkiem, że jeżeli mam jakie życzenie w tej chwili, to ażeby twoje ciało nie było ciałem, ażeby ciało

twojej żony nie było ciałem kobiety. Bądźcie marami oboje, ażebym ja był niewinny. Uspokój mnie Odoardo! nie prawdaż, że wyszedłeś z grobu? Czy przypominasz sobie, ażebyś żył pod słońcem? Nie, nie, twoje ciało jest tylko pozorem ciała, nieprawdaż? pozwól mi dotknąć ramienia żony....

— Nędzniku! uduszę cię, jeżeli tylko spojrzeniem siostrę moją ośmielisz się znieważyć.

— O, nie lękaj się Odoardo! dłoń moja nie może nic nad kobietą, jest ona zimna, jak dłoń posagu! gdyby pod moją ręką bić mogło serce kobiety, nie bylibyśmy tutaj, wzajemnem straszaniem siebie zajęci.

— O, zawołał Odoardo, zobaczmy, co mi masz jeszcze powiedzieć? siostra moja potrzebuje spoczynku, uwolń nas co prędzej od siebie i od twoich przyborów śmierci, dosyć już cię słuchałem, wkrótce noc nadejdzie...

— A, już się dosyć mię nasłuchał, rzekł nieznajomy z kwaśnym uśmiechem, to nie krew mary płynie w twoich żyłach? Nie masz grobowego zimna wrzący młodzieńcze! tem gorzej, dobrze więc, jeżeli nie chcesz słuchać, to patrz.

I zerwał z ręcznie czarne osłony zakrywające obrazy; zdawałoby się, że wczoraj dopiero wyszły z pod pędzla malarza, uderzające były podobieństwem kształtów i wzrostu do Odoarda i Steliny.

— Dla uzupełnienia podobieństwa, dodał nieznajomy, pozbierajcie wasze szaty godowe i przywdziejcie je.

Stelina powstała, zrobiła znak krzyża i padła na krzesło bez czucia, wykrzyk przestrawienia zawisnął na rozwartych ustach Odoarda. Palce lewej jego ręki wyprężyły się w czarnych jego kędziarach. Zemdlął.

VI.

G R Ó B.

Stelina przyszła do siebie z omdlenia, usiadła na marmurze i na swoich kolanach złożyła głowę Odoarda okrywając ją łzami. Odoardo zdawał się być uspijonym, jego oddech przerywały westchnienia i głuche jęki, był to letarg zapewne, pełen snów straszliwych. Stelina nie śmiała go przerwać, ponieważ był rodzajem wytchnienia, pozorem spoczynku.

Księżyc odbił się w zwierciadle pokoju i zdawał się spoglądać na te młodzieńcze postacie, okryte melancholizmem światłem jego promieni. Słońce ruin pochodnią swoją oświecało to smutne czuwanie. Młoda dziewczyna, opiekunka snu Odoarda, w tem słodkiem zajęciu czerpała odwagę wyższą od przyrodzonej swojej słabości. Odzyskując zmysły nie ujrzała już mnicha i, chociaż co chwila lękała się jego powrotu, czuła się jednak prawie szczęśliwą, widząc się uwolnioną od obecności tego tajemniczego człowieka. Odoardo lekko poruszył głowę i otworzył oczy, nachylona postać Steliny patrzącej na niego trochę mocy sercu jego wróciła.

— Gdzież jesteśmy? zawołał z wzrokiem obłąkanym, gdzież jesteśmy Stelino?

— Ty jesteś przy mnie, mój bracie! odpowiedziała młoda dziewczyna głosem, przewyższającym harmonią dźwięk liry usypiającej boleści.

Głos kobiety stworzony był na osłodę cierpienia, głos kobiety jest to echo nieba.

Odoardo całował ręce Steliny wylewając łzy obfite; nagle szybkim wzrokiem rzucił dokoła i głosem ci-

chym i drżącym wyrzekł: Gdzież on jest, upiór klasztoru, czy my sami?

— Tak, tak mój bracie! już trzy godzin minęło, jak czuвам nad snem twoim, a nikt tu jeszcze nie przyszedł. Słyszałam dwa głosy tam na terasie, jeden z nich znany mi jest, jest to głos kartuza; drugiego nie słyszałam nigdy, jest on silny, żywy i rzewny. Gdybym cię mogła zostawić samego choć na chwilę, zbliżyłabym się do otwartego okna dla słuchania rozmowy, do tego miejsca dolatywały mi same tylko słowa bez związku, imiona nasze często się powtarzały w ustach tych ludzi. Odeszli już oni oddawna, tak przynajmniej sędzę, gdyż nie słyszałam potem nic więcej oprócz tchnienia snu twego.

Odoardo przystąpił do okna i wodził wzrokiem po polach. Żadna żyjąca istota nie ożywiała tej pustyni, powiew świeży orzeźwiał wszystko, wschodząca jutrzeńka rumieniła wierzchołki jodeł, gdzieś tam łódź rybacka przesuwiała się z Ischii do Miseny, skowronek rzucał w powietrze dźwięczne i radośne tony, jedyny to był głos, co się słyszeć dawał na milczącym szczycie Otayano. Stelina, co z zwykłą lekkością młodej dziewczyny oddawała się słodkim wrażeniom obecnej chwili, zarówno niepamiętna przeszłości, jak na przyszłość niebaczna, mówiła do Odoarda: Mój bracie! ten powab wschodzącej jutrzeńki miły jest dla mnie, jak jedna z twych pieszczot, nigdy nie widziałam przyrodzenia w takim majestacie piękności. Z domu, gdzieśmy nasz wiek dziecinny spędzili, nieraz widziałam morze, ale i morze było smutne i góra była smutna. W Rzymie tylko z ulicy ś. Teodora oddechałam świeżością jutrzeńki, z naszego okna widzieć się dawały jedynie stare mury ceglane, zczerniałe zwaliska i biedni ludzie przed świtem spieszący do pracy, ażeby dzień przedłużyć. Tu zaś patrz, jak

wszystko jest piękne, wciągaj duch piersiami całami. Jak wszystko jest wonne! O, chodź! zapomnijmy o wszystkim, zejdźmy tam do tego lasku, idźmy patrzeć na wschodzące słońce z brzegu tej góry, co się pochyliła na morze. Chodźmy mój bracie! to ci ulży.

Odoardo z głową wzburzoną jeszcze dał się prowadzić Stelinie. Zstąpili z rozwalonych wschodów i zeszli na teras.

Stąpali na los, milczący i bojaźliwi, na najniższy szelest Odoardo za sztylet chwycił i płomień wybiegał na jego lice. Dostyc już było jasności, ażeby otaczające przedmioty rozpoznać.

Gromada cyprysów uderzyła wzrok Odoarda. Oto grobowiec jakiś, rzekł, groby gonią za nami! Jest to sarkofag opuszczony oddawna, gdyż cały pokrył się bluszczem i zioły; jest to piękny ustęp krajobrazu!

Przybliżył się i sztyletem przeciął skręty bluszczu wijącego się po drzwiach grobowca. Oto jest jakiś napis, nagrobek zapewne, lubię nagrobki, przeczytam ten, zobaczmy czy ...

Nie mógł dokończyć, włosy jego zjeżyły się przestraszeniem, skinieniem przywołał Stelinę pozostałą za nim, przystąpiła do miejsca wskazanego palcem Odoarda.

Młodzieniec zwolna i głucho wyjąkał słowa nagrobku:

Odoardo i Stelina

zeszli z tego świata 11. maja 1646. roku w dzień swojego ślubu.

Młodzi ludzie spoglądali na siebie przez chwil kilka w milczeniu przerażenia.

Rozpacz natchnęła Odoarda siłą, wściekłością i odwagą; otworzył drzwi grobowca i ujrzał dwa próżne miejsca po trupach. — Próżny! zawołał... ale patrz, patrz Stelino! na te dwa marmurowe medale. Poznajesz te odcis-

ki? Jestże na świecie drugi rys twarzy twemu podobny? Mój boże, mój boże! zstąp, przemów do mnie na górze; jak do Mojżesza, albo zakończę szaleństwem!

Młoda dziewczyna uknęła na trawniku i modliła się z szkaplerzem w rękę.

Znagła zaszła przemiana na twarzy Odoarda. Rysy jego rozpromieniły się jakby szczęściem, oczy zajaśniały radością. Dobrze więc, niech tak będzie! zawołał, przyjmuję słowa nagrobku! Dzięki ci grobowcu! dzięki ci objawienie grobu! Tak, tak Stelino! ten dzień nie jest dniem śmierci; ta zorza jest porannym promieniem mego życia! Te cyprysy przemieniły się w mirty, te żałośne głoski połyskują złotem! Stelino, Stelino! powstań, powstań! tyś nie moja siostra, Odardo nie jest już twoim bratem, jest on twoim kochankiem! twoim małżonkiem! O! tak, Stelino! przeczuwałem ja, że bóg nie natchnąłby mego serca namiętnością zbrodniczą! Tak, tak, jestem marą, marą wskrzeszoną, jestem wyjątkiem w naturze, tem lepiej! Co mię ma obchodzić, że żyję życiem śmierci, jeżeli mogę kochać Stelinę jak kochankę? gotów jestem zabić każdego, ktoby się poważył wytłumaczyć tę tajemnicę, wracając mi życie i siostrę! Chcę być raczej marą i twoim małżonkiem, aniżeli żyjącym i bratem.

Młoda dziewczyna płakała z radości, nigdy jeszcze nie widziała Odoarda otoczonego taką jutrznią szczęścia; ona tak zawsze bratu swemu uległa, co głosu jego jak głosu boga słuchała, poddawała się teraz płomiennym jego pieszczotom bez bojaźni i żalu. Daleka od wyprowadzenia z błędu, który go pocieszał, niepocieszonego dotąd młodzieńca, dla uzupełnienia tylko jego radości otworzyła usta. Tak, tak mój bracie.... mój przyjacielu, mój Odoardo! bóg sam natchnął ciebie, bóg to za rękę przyprowadził nas tutaj. O! i ja czułam także, że nie kochaliśmy

cię zbrodniczą miłością siostry, o! kochałam ciebie daleko lepiej! Ileż razy słowo miłości zawisło na ustach moich! A tego rana, gdy usypiałeś na moich kolanach, nie wiesz, ile pieśczęt kochanki zostało na czole twojem! One to wróciły ci życie Odoardo! mój bracie! mój przyjacielu!...

— Twój oblubieńczy! twój oblubieńczy! Nasz kontrakt małżeński zapisany na bronzie! Bóg sam osłonił bluszczem tę ugode ślubną, ażeby żadna ręka świętokradzka zatrzeć jej nie zdołała. Patrz, czy te uściski płomienne są uściskami trupa? Żegnaj cię Neapolu! żegnaj cię świecie! żegnaj wszystkich i wszystko! Chodź Stelino!

I weszli w ów pawilon przy końcu ulicy, ten sam, w którym pierwszy Odoardo i pierwsza Stelina przydybani byli przez mnicha truciciela.... Równie jak pierwej słyszeć się tylko tam dawał szum przyległego wodotrysku, szmer wonnego powiewu pò drzewach i plusk miękkiej fali konający u brzegu.

Słońce wysoko wzniosło się na horyzoncie, gdy oblubieńcy śmierci opuścili pawilon małżeński, Odoardo jak anioł nieba pogodny, Stelina u ramienia kochanka zwieszona niedbale. Oboje całkiem sobie byli oddani i nie spostrzegali, że jakiś przychodzień zastąpił im wyjście z ulicy.

— Mój przyjacielu, wróćmy do lasu, rzekła Stelina, otóż znowu jakaś złowróżba nowina nas czeka.

— O! teraz moja przyjaciółko! piekłu gotów jestem rzucić wyzwanie i piekło mnie nie zastraszy; jesteś moją żoną, to dosyć, o resztę nie dbam wcale.

I uważnie wpatrzył się w przychodnia i wstrzymał się nagle.

— Nie, rzekł, nie, moje oczy mię nie zwodzą, to Salwator Roza!

— Tak, poznałeś mię, przybliżając się odpowiedział mistrz wielki, ja ciebie tu szukam. Za pierwszym naszym widzeniem się byłeś bez imienia i nazywałeś mnie ekscelencyą, dziś plebejusz Salwator Roza pozdrawia ciebie Otayano!

Odoardo zachowywał milczenie, nie rozumiejąc nic z tego wstępu.

— Lubię przygody, lubię ludzi z namiętnościami burzliwemi; lubię słuchać opowiadania tych, co wiele widzieli, wiele użyli, wiele cierpieli. Życie moje jest najbajeczniejszym życiem, lubię ludzi, co do mnie podobni. Od czasu widzenia się naszego na szczycie Janikulu ślad w ślad szedłem za tobą. Nazajutrz udałem się do waszego domu na ulicy ś. Teodora, powiedziano mi, żeście się do Neapolu wybrali, ja miałem także niektóre familijne interesa do załatwienia w Neapolu, puściłem się więc tą samą co i wy drogą. Żywa interesowność, szczególniejsza ciekawość przywiązywały mię do kroków waszych. Wysilając moje wspomnienia nareszcie przypomniałem sobie, że jednego dnia przyzwany byłem do tego zamku dla odmalowania portretów dwojga oblubieńców, te same, co i wy noszących imiona. Dowiedziałem się potem, że te zaślubiny zakończyły się otruciem. W rzeczy nadprzyrodzone nie zwykłem ja wierzyć, nie mogłem przypuścić, ażeby to wasze postacie wyszły z pod mojego pędzla, jakkolwiek wyobraźnia moja szalona. Musiały więc inne dzieci narodzić się z tych samych matek. Ale do kogoż się udać, ktoby mnie wyprowadził z tego błędniaka domysłów? Wszyscy właściciele tego zamku pomarli śmiercią gwałtowną albo przyrodzoną, z całych dwóch rodzin jeden tylko oblakany odźwierny pozostał. Przyszło mi na myśl, że jeżeli dwoje dzieci narodziło się po śmierci pierwszych, niezawodnie ochrzczone były imieniem

siostry i brata; jest to zwykle pocieszenie nieszczęśliwych rodziców. Po trzech dniach poszukiwań w kościołach Neapolu odkryłem nakoniec starego jednego franciszkana, który przypominał sobie, że dwojga dzieciom udzielał chrztu w domu oddalonym od miasta, i że wprowadzono go tam z tajemnicą zdającą się być środkiem ostrożności przeciwko zażartemu jakimś wrogowi. Franciszkan dodał, że pamięta wybornie wszystkie szczegóły tego zdarzenia, gdyż nagrodzony był z wielką hojnością. Co więcej, powiedział mi: Przypominam sobie, że mała dziewczynka Stelina miała u dołu piersi lekkie znamie szkarłatne w kształcie szpilki złotej, jakie kobiety noszą we włosach....

Odoardo wydał okrzyk radości, rzucił się na szyję Salwatora i długo go trzymał w uścisku. Tak, tak, zawołał, to prawda, to prawda, człowieku nieba! powracasz mi życie.

Stelina wylewała łzy rozczulenia, Salwator mówił dalej:

— Kroki moje przywiązane były do kroków waszych, jak wam mówiłem, wczoraj w wieczór za nadejściem nocy z dwoma służącymi przyszedłem tu na ten teras, głosem wolałem was po imieniu, a nikt mi nie odpowiedział; nakoniec człowiek jakiś wyszedł z tych ruin, skoczyłem ku niemu, a on zadrżał poznawszy, kto jestem, był to Marko Teona! Długo żyłem z nim w Abruzzach, ja malarz krajobrazów, on zbójca. Wielkie nieszczęście, wielka rozpacz, zemsta, rzuciły Teonę w Abruzzi; czatował on na drodze z Neapolu do Rzymu, jak strzelec śledzący tropu zwierzyny, którą mu wskazano. Użyłem mego wpływu nad Teoną, ażeby mu jego tajemnicę wydrzeć, gdyż wiedziałem, że dzieje jego życia z dziejami rodzin waszych się wiążą, zagroziłem, że wydam go zbirom i prze-

mówił nakoniec. — Idźmy do Neapolu, powiedział mi, w Neapolu tylko wskazać ci mogę schronienie Odoarda i Steliny. Zstąpiliśmy z góry. W Portici wzięliśmy łódkę; wstępując na nią Teona powiedział mi: Ci, którymi się interesujesz, może już nie żyją, znajdziesz ich w ruinach Otayano; obok jest grób próżny z wyrytymi imionami ich, niewiele będziesz miał pracy w ich pogrzebaniu. Co się zaś mnie tycze, moje nieszczęśliwe przeznaczenie już się spełniło!... I rzucił się w morze. Zamiast dwóch trupów do pogrzebania znalazłem dwoje małżonków do uściskania. Chodźcie, przywdziać wasze szaty weselne!

— Ach! rzekł Odoardo całując ręce wielkiego mistrza, nie myślałem nigdy, ażeby szczęście tak było lekkie! Jakież to dzień dzisiaj! W jakimże miejscu mogę zakończyć dzień tak piękny?

-- Tam, gdzieś go zaczął! rzekł Salwator. Jutro przyjdziecie do mego domu na Pauzylipie, tam objaśnię wam wszystko, dziś zostajemy w twoim zamku księżę Otayano! moi słudzy myśleli o potrzebach naszych. Za godzinę ślub weźmiecie w kościele Rezina, a tego wieczora.....

W wieczór, w ślubnej komnacie całej oświetlonej księżę i księżna Otayano, przybrani w szaty brata i siostry swojej, przyjmowali powinszowania Salwatora Rozy i rodziny jego; potem pochodnie zwolna pogasły, jedna tylko srebrna lampa o czterech promieniach miękko oświetlała pokój. Płomienne słowa miłości zamieniały się jeszcze przy tem wezgłowi, okrytem bogatą zasłoną o frędzlach złotych, ale tą razą lica małżonków jaśniały na niem.

Nazajutrz Odoardo mówił do swojej żony: Mój brat i twoja siostra niewinnie pomarli tutaj, ale bóg jest sprawiedliwy, odrodził ich w naszej postaci.



indwii nakoniec. — Idamy do Neapolu, powieciał mi.
 w Neapolu tylko wakacje ci mogą schronienie Odbiera
 i Napolu. Zastąpiłszy z kory. W Portii wieleiny kódey
 wykopuje na mi Tona powieciał mi: O! którymi się
 interesować, może już nie być, wiedziasz ich w rincech
 Otayano; obok jest tród próżny z wyrytami imionami ich,
 niewiele bediaz nial pracy w ich pogrzebaniu. Co się
 są mnie tyce, moje niezachwilew przykuczanie już się pol-
 nioło... I trucił się w morze. Kuchnia dwóch rypow do
 pogrzebania walczeni dwój malsoków do ruciskania.
 kłobócici, przywiazio wazze waty waznie.

— Aż tak! Odbieru kuzynce wiekiego miastka.
 nie myslalam nigdy abey zczepio tak byle kiel. Ja-
 kie to dzieł dzieł! W jakimże miejscu moge zakon-
 czyć dzieł tak piękny?

— Tam, gdzie go zechce! rzekł Salwator. Jakiś
 przydziale do mego domu na Tuzypie, tam oglebie
 wam wszystko; dzieł zostajemy w swoim zamku kuzyn-
 Otayano! moi słubcy użyłi o potrzebach narych. Za-
 kochanie ślub wzmiancie w kościele. Bezina, a tego wie-

szota.....
 W wiecy w ślubie, komandie całej oświeconej kais-
 so. I kuzyn Otayano przybrał w szaty brata i siostry
 awy. Wzruszali podziwowania Salwatora. Był i ro-
 bny jogatopozem pochodnie zwolna porzucił, jedna tyl-
 ka strzelał, a czterech promienich miękko oświe-
 cila pokój. Promienne słown miłości zamieniali się jas-
 neo przy kom wazgłowi, okrytem bogatą kasko a ruche-
 lach słoty, ale to raze licz malsoków jaśniały na niem.
 Najszanie Odbieru miewi do swojej kory: Mój brat
 i twoja siostra niewyżnie poznali tutaj, ale pow jest spr-
 wodliwy, obochali się w naszej postaci.

BIBLIOTEKA
 UMCS
 LUBLIN

P I Z A

SPIS ROZDZIAŁOW.

I. Dzień wesela	Strona	3
II. Odrodzenie	"	18
III. W Rzymie	"	27
IV. Salwator Roza	"	41
V. Klasztor ś. Marcina	"	47
VI. Grób	"	62

WYDANIE

WYDAŁ DZIAŁYK TUDOWSKI



WYDAŁ I DUK KAROLA PILLER

1858

SPIS ROZDZIAŁOW.

3	Strona	I. Dzień wesela
18	"	II. Odroczenie
27	"	III. W Rzymie
41	"	IV. Salwator Boza
47	"	V. Klasztór S. Marcina
63	"	VI. Grób



Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 20378

1-2

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki



1000171917



1000171918